№ 1. Warszawa, dnia 6 Stycznia (25 Grudnia) 1882 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Od Redakcyi.

Dogadzając życzeniom wielu abonentów naszych, skarżących się bądź na trudność ułożenia, bądź na częste zaginięcia pojedynczych arkuszów dodatku kwartalnego, odtąd wysyłać go będziemy w zeszytach broszurowanych.

Walka o byt.

I.

(Praca).

Prawo „walki o byt," zamieszczono na czele dogmatów biologii przez genialnego mistrza i szybko rozciągnięte do życia ludzkiego przez jego uczniów, odbiło się protestem w opinii mas, durzonych idealistycznemi złudzeniami. Obrońcy wszelkich mile brzmiących komunałów i pustych słów, w których ziarna znikły, czuli się powołanymi do osłonięcia wrzekomo zagrożonej nową teoryą godności człowieka. Ani to pierwszy, ani ostatni wypadek, przekonywający, że ludzie, dawno oswojeni z jakimś faktem, nie mogą lub nie chcą pogodzić się z jego nazwą i że niema takiego przesądu, którego gruzy nie znalazłyby szczerze lub obłudnie płaczących nad nimi proroków. I w tym więc razie znalazło się bardzo wielu elegistów, których żałosne skargi odzywają się dotąd. Milkną one wszakże coraz bardziej w spokojnym rozmyśle i odzyskują dawną moc jedynie w starciach polemicznych. Nieliczni są już dziś ideologowie, ktorzy walki o byt wrodzie ludzkiem nie widzą, liczni są tylko ci, którzy w niej naturalnego prawa rozwoju ludzkości nie uznają, mieszając przytem odkrycie zjawiska z wytworzeniem go. W tej dziecinnej pretensyi Darwin uchodzi nie za badacza konieczności przyrodniczej, ale za jej sprawcę.

Bądź co bądź sam fakt o tyle jest pewnym a rzucone nań przez wielkiego myśliciela światło jasnem, że bez uwagi na krzyki możemy śledzić go we wszelkich postaciach. Nieustanna walka o byt istnieje, istnieje pod najrozmaitszemi formami, zużywa najrozmaitsze środki, począwszy od brutalnej pięści i maczugi, a skończywszy na wzniosłych ideałach i zasadach. Jeżeli zaś jest to nieunikniony warunek bytu zarówno osobników jak i społeczeństw, tedy jednym z najważniejszych przedmiotów socyologicznego badania być winny oręże w walce tej skuteczne. Jak rzekliśmy, oręże te są bardzo rozmaite i wszystkie mniej lub więcej wpływają na rezultat zapasów. Nie zaprzeczając ważności wielu takim, których nie posiadamy, a których siła jest niewątpliwie potężną, chcemy skierować baczność czytelników na te, które posiąść możemy i powinniśmy.

Wyliczając przyczyny naszej niemocy w starciu z innymi ludami, zwykliśmy pamiętać jedynie o pewnych bitwach i traktatach, o pewnych nadużyciach przemocy, o całym szeregu aktów historycznych, które istotnie na nasz los wpłynęły, ale które nie wyczerpały a przynajmniej nie wyczerpują wszystkich jego źródeł. I wojnę rozstrzyga nie tylko karabin, ale także buty żołnierza lub strawa. Podobnie rzecz się ma z walką o byt. Wytrzyma ją nawet mysz z kotem, jeżeli się według sił ubezpieczy. Gdyby każdy gatunek szukał i nie znajdywał sposobów ochrony swego bytu, istniałyby tylko lwy, tygrysy i słonie śród zwierząt a siłacze i olbrzymie państwa śród ludzi. Tak przecież nie jest. Ciągle patrzymy na społeczeństwa drobne, utrzymujące swój byt w łonie wielkich mocarstw, a utrzymujące go jedynie środkami, ktorych skuteczność napozór nie obiecuje powodzenia.

Jest to fatalnym błędem naszych rozumowań polityczno-społecznych, że porównywając własne społeczeństwo z innemi tłomaczymy sobie ich zwycięstwo tylko przewagą fizyczną: ilością i armią. Zapominamy wtedy, że głupi człowiek jest tylko dużą małpą, a głupi tygrys dużym kotem. Gdyby najpotężniejsze państwa posiadały tylko wiele uzbrojonych ludzi, uległyby wkrótce zupełnej zagładzie. Żaden Krup nie uleje takiej armaty, któraby zabiła Kopernika, a żaden Moltke nie zwycięży Mickiewicza lub Matejki. W naszych gorzkich żalach odzywają się najczęściej skargi na zalew niemiecki. Jest to fakt — bardzo smutny — i niewątpliwie od państwowego stanowiska naszych sąsiadów zależny. Ale czy niemcy dlatego tylko „wydzierają" nam ziemię, wypierają nas z przemysłu i handlu, że posiadają dwumilionową armię i Bismarka? Czy w walce o byt druzgocze nas tylko ich siła fizyczna? Bynajmniej. Walka ta, w przerwach między aktami właściwych zapasów orężnych, wprawia w ruch czysto cywilizacyjne czynniki, które ją dalej prowadzą i w zwycięstwach udział przyjmują. Jednym z takich czynników jest praca.

Tak nam ten wyraz spowszedniał, tak się owinął moralizatorskim kokonem, że nie robi na nas głębokiego wrażenia. Że praca jest pożyteczną, nawet niezbędną i cudotwórczą—powtarzamy ciągle; ale że ona stanowi pierwszorzędną siłę w walce o byt, że stopień jej natężenia rozstrzyga o losach narodów — to nie tkwi głęboko w przekonaniach naszych. Praca nasza jest nietylko ilościowo mniejszą, ale zarazem jakościowo nader ograniczoną. Niepodobna faktu tego wyrazić w cyfrach, ale łatwo go zaobserwować. Pomijając niezrozumiałą dla nas pracowitość zagranicznych ucze-

ych, urzędników lub przemysłowców, ość ją porównać śród ludu. Chłop polski, cale nie próżniak, nie wytrzyma nigdy spółzawodnictwa z kolonistą niemieckim, tóry zamiast sobie święta odpoczyn-owe mnożyć, jeszcze najuroczystsze szczupla. W naszych średnio zamożnych omach widzimy roje sług; odpowiednie dziny niemieckie lub francuskie po-zestają na jednej, która prócz zwykłych bowiązków myje codziennie — trotuar. agraniczne kobiety średniej klasy speł-ają najniższe zajęcia, nasze panienki młode gospodynie przypinają sobie cza-m do eleganckich sukienek białe far-szki, ale z tą samą myślą, z jaką na ku-gach przebierają się za krakowianki.

Uderzająca różnica powtarza się również gatunkowaniu i podziale zatrudnień. istoryczna cywilizacya nasza ma już ieków dziesięć, ale cięższa ogólna praca e liczy nawet jednego. Szlachta, która anowiła naród, nie lubiła jej lub gardzi-nią; pracował tylko chłop na roli, żyd sklepie a cudzoziemiec w fabryce. Cza-się zmieniły, my w nich także; potom-owie świetnie uherbowanych rodzin nie stydzą się już robić cukru lub sprzeda-ać pieprzu, ale tradycya podziału pracy szlachetną i nieszlachetną żyje dotąd. dyby urzędnik, zarabiający pół tysiąca bli rocznie, odniósł sobie walizkę po-óżną z dworca kolei do domu, dostrzeżony zez reportera niezawodnie zostałby zczony pochwałą w Kuryerze za czyn, óry ogółowi wydałby się niezwykłym wcale do naśladowania niepobudzającym. ymczasem za granicą zamożni obywatele z własnego wstydu i cudzego podziwu bią to ciągle. U nas Franklin jeszcze się e urodził. Za redaktorem gazety, który sam ją pisał, składał i roznosił, uli-cznicy lataliby jak za waryatem, chociażby ten oryginał był zbawicielem swego kraju. A ktoby taką gazetę prenumerował? W Pa-ryżu, w stolicy zbytku i elegancyi, robotni-cy lub dorożkarze siedzą w restauracyach obok artystów i profesorów, a na Polach Eli-zejskich nieraz w święto spotkać można sklepikarza jadącego bez surduta z rodzi-ną na spacer. Coby u nas z nim zrobiono i jakby go ochłostano w prasie? Bo u nas robotnik, przekupień, dorożkarz, wszelkie gatunki społeczne, trudniące się pra-cą niższą — to istoty upośledzone i czu-jące swoją niższość, to ludzie zawsty-dzeni, wzgardzeni, odkreśleni wyraźnie od warstw wyższych. Tenże sam człowiek we Francyi lub Niemczech nie opuszcza pokornie głowy, lecz ją nosi na równej linii z wszystkimi, uważa się za obywate-la kraju, korzystającego z równości i sza-cunku. I czy tę pewność siebie daje mu tylko udział w życiu politycznem? Daje mu ją także równouprawnienie pracy, przekonanie, że ta praca go nigdy nie hań-bi. A ileż razy hańbi ona nas? Gdyby córka naczelnika, zamiatając schody, doj-rzała znajomego z salonu kancelistę, jeże-li nie odebrałaby sobie życia, to w każdym razie zatrułaby je na długo. Można nie rozpaczać, gdy u nas psy łapie lub skóry z koni ściąga niemiec, ale ten niemiec wchodzi również na inne wzgardzone po-la, na których nas pokona albo wytrwa-łością, albo niewstydem, a którego ko-rzyści na szali interesów ekonomicznych i cywilizacyjnych posiadają większą wagę. Nieraz już cudzoziemcy nauczyli nas szla-chectwa jakiejś pracy, ale zwykle wtedy, kiedy już on była niedostępną.

Walka o byt, jak rzekliśmy, składa się z mnóstwa momentów drobnych, niedo-strzegalnych, które również wpływają na jej przebieg i rezultat; otóż jednym z naj-bardziej zwycięskich czynników w tym nieskończonym wątku stare jest praca, która stanowi grunt pomyślności narodów potężnych, a która w naturę naszą głębo-ko nie weszła. Ilościowo jesteśmy zbyt le-niwi, a jakościowo zbyt rozpanoszeni. Olśniewają nas skutki wysiłków mrów-czych, ale nie pociągają przyczyny. Pozo-stajemy ciągle szlachtą w naj[illegible]niejszem tego słowa znaczeniu. Nie możemy uwierzyć, że z nasypywania się ziarnek piasku tak samo powstają góry, jak z wy-dymania skorupy ziemskiej przez wulka-ny; rozumiemy walkę o byt jedynie pod postacią dramatu o silnych efektach, ale nie pod postacią długiego i spokojnego rozwoju. A tymczasem pokonywa nas nie sama przemoc, ale także praca.

A. S.

GAMBETTA UMARŁ...

Rok świeżo ubiegły patrzał na śmierć większego, może największego w obecnem stuleciu człowieka — K. Darwina, widział zgaśnięcie genialnego umysłu, który, jak latarnia morska, rzucał olbrzymim pro-mieniem światło na obszary wiedzy. Czło-wiek ten był mistrzem całej cywilizowa-nej ludzkości — cała więc ludzkość odczu-ła stratę w jego zgonie. Gambetta był tyl-ko czcigodnym patryotą i politykiem Fran-cyi, śmierć jego, jak życie, może mieć tyl-ko wpływ krótkotrwały, choć głęboki, a jednakże wieść o tej śmierci, będącej ostatniem tchnieniem minionego roku, uderza jakąś majestatyczną grozą. Nikt jej się nie spodziewał. Zszedł nagle ze sce-

---

[1])

Trzy spotkania.

W którymś tam roku, dawno upłynio-ym, wałęsając się po świecie, zawadziłem Homburg. Patryarchalny landgraf usu-ął się już był do mogiły przed żalaznym ięciem, sławne karpie znikły w pruskich ołądkach, ze wszystkich tedy osobliwości ozostała jeszcze ruleta i znakomite *trente quarente*.

Nie wiem, jak tam dawniej bywało przybytku ślepej fortuny; w tym zaś asie, gdy dni kontraktu były policzone, pruski żołnierz przypominał o tem na ażdym kroku, gra wrzała szalona. Vszystkie narodowości składały kosmopo-tyczne złoto na ołtarzu ślepej bogini; szyscy obecni tworzyli jeden naród o ol-zymiem sercu, bijącem do jednej idei; amto właśnie następowało idealne zespo-enie umysłów, chęci, dążności ku jedne-u celowi. Nie znam idei, któraby w tak cznym zastępie, tak zgodne unisono wy-ołać mogła!

Zaledwo wręczyłem paszport kelnerowi, nie zdążyłem jeszcze rozpakować rzeczy przyjrzeć się własnej brodzie i wąsom, ły lokaj hotelowy wręczył mi bilet ozdo-ny tytułem „barona i von.“ Zaliczywszy iespodziany honor na karb taniej nie-ieckiej grzeczności, z biletu skorzysta-m tegoż wieczoru: otwierał on mi bo-[illegible] oczekiwany przez dwóch rodaków, którzy wyprzedzili mię na dni parę do Hombur-gu. Gdzież naszych niema! Przy rulecie zabawiłem krótko; przyczepiwszy się na dziesiątą część do współki, zemknąłem, głęboko przekonany, że fortuna ze mną w jednym pokoju zgodzić się nie może, że kiedy ja wchodzę drzwiami, ona oknem wybiega. Nie chcąc więc jej płoszyć we własnym przybytku, wyszedłem, sądząc że może za grzeczność odpłaci grzecznością, choć w dziesiątej części.

Nie spotkałem nigdzie zimowej prze-chadzki, urządzonej z większym gustem i przepychem. Olbrzymi korytarz, a ra-czej wąska sala, ciągnąca się wzdłuż całe-go gmachu, tworzyła jedną aleję egzoty-cznych krzewów w pełnym rozkwicie. Ustawione w kilka rzędów, okrywały ściany, sięgały gałązkami do sufitu. Świa-tło tysiąca kryształowych lamp raziło trochę nieoswojone oczy; a za ścianą z kwia-tów i kolumn brzmiała rozkoszna orkie-stra Garbiego. W prawdzie i w tym raju, skradzionym całkowicie z arabskich bajek, spotykałem zrozpaczonych z dzikiem wej-rzeniem, ze zbladłemi ustami, istnych aktorów w ostatnim akcie tragedyi. Tylko że tu sceną było życie, a aktorami — zruj-nowani bogacze. Fortuna nie zdołała mię okiełznać ostatecznie; mieliśmy z sobą stare rachunki, w których ja bywałem zawsze poszkodowany; więc tak odrazu nie dałem się podbić urokiem jej błyszczą-cych oczu; a chociaż nutka ogólnego uni-sona zaczynała już wkradać się do moich uszu, serce i umysł były dość swobodne, żeby się napawać rozkosznem otoczeniem, [illegible] ciemnych borów, do szarej roli, do stare-go dworu na Litwie, o której i w raju za-pomnieć trudno, gdyż zbyt już zrosła się z sercem i pamięcią.

Wśród licznych spacerujących zwrócił moją uwagę młody mężczyzna, wspaniałej a zarazem dziwnie ujmującej powierzcho-wności. Jasny blondyn z ciemniejszym nieco zarostem, twarz miał owalną, świe-żą cerę, oczy duże, ciemne, fizyognomia tchnęła życiem, swobodą, na ustach drgał bez przerwy trochę drwiący uśmiech. Odziany w marynarkę z czarnego aksami-tu zapiętą na jeden guzik, w jasno popie-late spodnie, bawił się z[illegible] szkiełkiem, za-wieszonem na szerokiej tasiemce. W ru-chach łączył pewność siebie z elegancką grzecznością wielkiego pana. Cóż mię cią-gnęło do niego; szedłem za nim, często wracałem ze środka sali, żeby spojrzeć w tą twarz pełną ujmującej swobody; a ile razy wesoły śmiech jego obił się o moje uszy, uśmiechałem się mimowoli. Przechadzał się wolnym krokiem, z rękami założonemi za plecy; towarzyszyło mu trzech jego-mościów, a chociaż wszyscy byli średniej miary, rozmawiając podnosił głowy, gdyż wzrostem wszystkich przewyższał. Da-remnie starałem się odgadnąć, w jakich stosunkach zostawał z fortuną: na twarzy jego, doskonale spokojnej, nic prócz weso-łości wyczytać nie mogłem. Rozmowa, o ile zdołałem podchwycić, kręciła się oko-ło wystawy koni, urządzonej gdzieś w oko-licy, o chartach wystawionych na sprze-daż przez jakieś udzielne książątko... o ru-lecie ani wzmianki! Może [illegible] cóżby tu robił? Sądząc po [illegible] [illegible] z wsz[illegible]

ny świata bohater, który odegrał kilka aktów tragedyi dziejowej, który przykuwał uwagę Europy nawet w chwili swej bezczynności, któremu z biegu akcyi politycznej przypadała jeszcze ważna i zaciekawiająca rola. Wszystkim nam stoi przed oczyma ten śmiały rzecznik idej demokratycznych, straszny wróg bonapartystowskiej samowoli, nieugięty przeciwnik klerykalizmu, surowy oskarżyciel zdrajców ojczyzny (Bazaine) a nadewszystko najwierniejszy jej syn. Jeżeli Izba francuska miała polityka szerokiej głowy i stalowej energii, jeżeli wojna z r. 1871 miała bohatera — to tylko Gambettę. Nie potrzebujemy tu unosić się bałwochwalstwem dzienników, które piły z jego kieszeni i widziały w nim boga nawet wtedy, gdy chciał być samorządcą; nie wszystko, co on otaczał swą powagą, zasługiwało na cześć lub uznanie; ale to pewna, że był on najznakomitszym w Europie przedstawicielem liberalizmu politycznego i że na rozwój jej stosunków państwowych bezpośrednio lub pośrednio oddziałał głęboko. Przyczynił się bowiem do wytworzenia w kraju organizacyi, której pod wielu względami żadna inna nie dorównywa a tym przykładem rozszerzonych swobód ożywił odpowiednie ideje w innych społeczeństwach. Śmierć więc Gambetty jest stratą podwójną: dla Francyi i dla Europy. Jako najzdolniejszy mąż stanu osierocił on ojczyznę tak dalece niebogatą w talenta polityczne, że jeden z dzienników paryskich słusznie zawołał po jego zgonie: „Jakaż teraz we Francyi pustka!“ Rzeczywiście, kto w niej ujmie ster w chwili stanowczej, kto zjednoczy rozbite na okruchy partye, kto okiełzna żywioły rozstroju i uzurpacyi. kto uosobni siłę porządkującą wewnątrz, a groźną na zewnątrz? Są poczciwi, są zdolni, są wichrzyciele i spiskowcy, ale rzetelnych patryotów i znakomitych mężów stanu niema. A wobec tego braku Rzeczpospolita młoda i podminowana.

Być może, iż żywione przez Gambettę pragnienie odwetu na Niemcach rzuciłoby Francyę w ryzykowną awanturę, ale było ono mieczem Damoklesa nad głową Prus i paraliżowało swobodę ich niszczącej polityki. Dziś ks. Bismark pozbył się najniebezpieczniejszego przeciwnika. Mimo bowiem siły militarnej, Rzeczpospolita francuska, już jako rzeczpospolita, przedstawiająca organizm zdecentralizowany, do ruchów zewnętrznych niezdolny, w pracach pokojowych zamiłowany — nie jest sąsiadem groźnym, jeśli nie posiada człowieka, któryby ją umiał skupić w jakiejś idei i porwać do walki. Człowiekiem takim był tylko Gambetta. Najlepiej świadczą o tem urzędowe płaczki pruskie, które wyciskając sobie z oczu łzy obłudne, pocieszają świat zapewnieniem. że przynajmniej na tej śmierci skorzysta — pokój. Wiemy, jaki to pokój.

W krótkiem wspomnieniu nie możemy zawrzeć i krytycznie ocenić wszystkich zasług zmarłego, które szczegółowiej uczci nasz korespondent paryski. Tymczasowo tylko stajemy z wyrazem żalu nad grobem wielkiego patryoty i bojownika postępu, który na swym sztandarze wypisał niejedno godło, przez nas wyznawane. Niemal uwierzyć trudno, że umarł ten Demostenes Francyi, z którego chciano zrobić tylko złotoustego mówcę, a który również jak orator grecki sądził i dowiódł, że wielki mówca winien posiadać trzy przymioty: zdolność do czynu — czynu — i czynu.

STRONNICTWA W RADZIE PAŃSTWA i polityka Koła polskiego.

I.

Galicyjska literatura polityczna zaczęła obecnie nieco wartszym płynąć nurtem. Do kilku poważniejszych broszur, wydanych w ostatnich czasach, przybyła świeżo nowa p. t. *Stronnictwa w Radzie Państwa i polityka Koła polskiego*. Praca ta ma jedną cenną zaletę: gruntowną znajomość rozbieranych stronnictw w połączeniu z bezstronnością oceny. Autor, którym ma być dr. T. Rayski, poseł do Rady Państwa, zamierzył scharakteryzować istniejące w wiedeńskim parlamencie obozy polityczne, uwydatnić ich cele i dążności; dlatego też widocznie nie stawia w swej pracy żadnego ściślej zarysowanego programu. Jako owoc badań tylko luźne podaje wskazówki, co oczywiście wartości broszury nie podnosi.

Opis stronnictw w Radzie rozpoczyna autor od słynnego obozu centralistów albo wierno - konstytucyjnego, który od lat 20 blisko, z małemi tylko przerwami, kierował nawą interesów Austryi, łupiąc chciwie skarbonę państwa i jego ludność. Szpetny ten bodiak gründerski wyrósł na gruzach konstytucyi grudniowej, po obaleniu patentów lutowych z r. 1861. Pielęgnowany starannie przez najgłówniejsze instytucye kredytowe w Austryi i wiedeńskich krezusów giełdowych, przyciągał do siebie najwybitniejszych przedstawicieli arystokracyi i rodowymi ich klejnotami przystrajał kolczaste łodygi swoje, utkane z ludzi różnych narodowości, nie wyłączając galicyjskich polityków z chorągwi św. Jura. Nazwa obozu: *wiernokonstytucyjny* była tylko dziką ironią. Za przykład posłuży może drobny szczegół: zaprowadzenie w państwie bezpośrednich wyborów. Wrogi wszelkim dążnościom autonomicznym, opryszek ten nie przebierał w środkach dla przeprowadzenia swych niecnych zamachów, popełniał tysiące

---

chodniami, widać było, że bawił nie od dziś i znanym był ogólnie. Cóś mi szeptało, że to jest, jeżeli nie polak, to przynajmniej słowianin, chociaż rysy nic typowego nie przedstawiały i chyba tylko ujmująca grzeczność dla cudzoziemców zdradzała w nim trochę polską naturę.

Kiedy jeden z moich towarzyszów przyszedł oznajmić, że fortuna według swego zwyczaju przeniewierzyła mi się na kilkadziesiąt guldenów, przechodził właśnie koło nas, a usłyszawszy polską mowę, zwolnił kroku i obrzucił nas wzrokiem. Dowiedziałem się od kolegi, że jestto „hrabia“ Czop. Uśmiechnęliśmy się obaj na ten tytuł, przyczepiony do bogatej, ale ani trochę niehrabiowskiej rodziny.

Heraldyki uczyłem się jedynie od starego Jana lokaja, który służąc przez lat sześćdziesiąt po różnych pańskich i szlacheckich dworach, znał niemal całą Litwę, a znał ją sposobem praktycznym. Kiedy mówił o marszałku S., zdejmował czapkę, jeżeli ją miał na głowie: „to był pan — mawiał — nie mogąc się zdobyć na większą pochwałę. O prezesie Z. opowiadał, że był skąpym, ale sprawiedliwym; dobrym było dobrze u niego, a dla złych przecież i tam pan Bóg ma piekło? Wspominając o H., których był poddanym, zaciskał pięście i przestawał mówić, jakby unikając ciężkiego wspomnienia. U Czopów służył lat kilka; nie pamiętam, co tam mówił o starych, młodego zaś jedynaka Józia nie mógł zapomnieć. Nagadawszy się o jego sercu poczciwem, o grzeczności, rozumie itd. Eh, ten źrebczyk śliczny! — dodawał zwykle. Jan lubił konie i nie znał wyższej pochwały nad to porównanie. Być może, iż pochwały, słyszane niejednokrotnie od prostego, ale sprawiedliwego człowieka, zdziałały, że patrząc na Czopa, czytałem w jego fizyognomii serce poczciwe, obok zbyt już może lekkiej, swobodnej natury; pomimo to nawet wiadomość, że gra zapamiętale, i zgrywa się bezmyślnie, nie mogła zwarzyć uroku, którym mię owionął od pierwszego spojrzenia.

Tego wieczoru nie grał wcale; czekał na akredytywę do banku. Widzieliśmy go przez cały czas w licznem towarzystwie wesołym, uśmiechniętym; typ szczęśliwca, który ma za sobą przeszłość bez chmurki, a w przyszłość patrzeć nie chce, czy nie umie.

Mieszkaliśmy w jednym hotelu. Czop zajmował wspaniały apartament nad naszym numerem. Podczas całego mego pobytu w Homburgu, widziałem, jak każdodziennie wyjeżdżał przed jedenastą z rana, a wracał po jedenastej w nocy. W dnie pogodne towarzyszyła mu kobieta, osłonięta starannie woalem; poznawałem ją po sobolowem futrze i brylantowem spięciu w czarnych włosach: w kursalu nie widziałem jej nigdy; a ile razy zdarzyło mi się spotkać wracającą z przejażdżki, przesuwała się szybko przez przedsionek i wchodziła na schody, prowadzące na górne piętro. Była to zapewne wspólniczka Czopa do wygranej; sądząc zaś z drobiazgowej troskliwości, okazywanej gdy wyjeżdżali razem, z wyrazu jego twarzy, łatwo było zgadnąć, że względy jej droższe mu były, niż względy fortuny. Przez cały ten czas Czop wygrywał ogromnie; żartował sobie z tego przypływu szczęścia, mówiąc, że się powtarza po każdym nowym zasiłku z kraju. Byłażby to magnetyczna siła wdowiego grosza. czy po prostu wybryk kapryśnej fortuny?

Wyjeżdżałem nocnym pociągiem; ubrany do podróży, z workiem w ręku stałem przede drzwiami, oczekując na towarzysza, gdy przed oświetlonym hotelem zatrzymał się powóz. Czop wyskoczył, jednym susem przesadził kilka schodów i wbiegł do przedsionka. W czarnych niedźwiedziach, zarzuconych na ramiona, z czapką nałożoną niedbale na jasnych włosach,, zdawał się być więcej niż zwykle ożywionym, pogwizdywał aryę z operetki, oczy błyszczały zadowoleniem, na ustach drgał wiecznie drwiący uśmiech. Zatrzymał się się przedemną i twarz mu spoważniała. W tem na górze dały się słyszeć kroki... podniósł głowę. Na ostatnim stopniu schodów, wysłanych kwiecistym kobiercem, oświeconych z całą okazałością pierwszorzędnego hotelu, stała owa brunetka; dzięki perspektywie, sztuce, czy może naturze tylko. wydała mi się bardzo piękną. Wątła, bladawa, z czarnemi oczyma, stanowiła doskonały kontrast z pełną siły i życia urodą Czopa: odzianą była w czarny aksamit, z brylantową gwiazdą w wysoko podczesanych włosach.

— *Eh bien, mon comte*! zawołała południowym akcentem.

— *Ah, je fit sautez la banque*! — odrzekł z wesołą swobodą. Rozpromieniony pobiegł ku niej po miękkich schodach.

W tejże chwili kolega mój wyszedł z numeru—pospieszyliśmy na pociąg. (D. c. n.)

Ostoja.

ieprawości, gwałcił prawa i konstytucyę, jakby dla szyderstwa w głównym moniorze swoim *N. Freie Presse* i w innych, owiewał sztandarem — liberalizmu! Laser, Auersperg, Chlumetzky, Herbst Szmaykal — oto kilka nazwisk, krwawemi głoskami wypisanych na karcie dziejów konstytucyonalizmu w Austryi.

Z nastaniem rządów hr. Taaffego stan rzeczy gruntowej ulega zmianie. Pomimo wszelkich wysileń, stronnictwo wiernokonstytucyjne zwolna traci grunt pod nogami, chwieje się, rozłamuje — cios za ciosem, policzek za policzkiem spada nań, popierający jego dążenia potentaci pieniężni cofają się z szeregów, tegoroczny zaś proces Olgi Hrabar i towarzyszów, który wyraźnie dowiódł, jak to ukochani przez centralów świętojurcy wiernymi byli Austryi — ostatecznie skompromitował np. liberałów, składających jaja wolnomyślności w bagnach *N. Fr. Presse*.

Dziś dogorywające to stronnictwo zmieniło nazwę na „zjednoczoną lewicę“ i rozpadło się na dwa obozy: nieprzejednanych intrusigentów i umiarkowanych, pojednania i połączenia pragnących, t. z. partyę niemiecko-ludową.

Nie ujmując tej ostatniej stron dobrych, reform w duchu postępowym (zmiana ustaw wyborczych, podniesienie bytu materyalnego niższych warstw społeczeństwa a w kwestyi narodowościowej umiarkowanie — „poniekąd“ równouprawnienie), wytyka autor zarazem i wady, głównie: znane żądanie „języka państwowego,“ tchnące hegemonicznym zapędem, albo zajęcie stanowiska w sprawie szląskiej, które nie odznacza się „bezstronną przedmiotowością i zbytniej ufności w ludach słowiańskich obudzić nie może.“

Jak galicyanie mają się zachować wobec dawnego stronnictwa wierno-konstytucyjnego? Przechodzi ono obecnie — powiada autor — przesilenie o gorączkowym charakterze, a ponieważ wyniku tego przesilenia na dzisiaj dopatrzeć niepodobna, przeto: „ludom niegermańskim w Austryi nie pozostaje nic innego, jak walka do ostateczności z nieprzejednanymi aspirantami hegemonii, wobec zaś stronnictwa ludowego — szczera życzliwość. Z żywą sympatyą, lecz bezstronnie przygląda się autor drugiemu stronnictwu w Radzie — klubowi czeskiemu. Po krótkiem zanotowaniu dziejów tej partyi, odznaczającej się zawsze niezmiernym taktem, sprężystością i pracą, następuje określenie celu, do którego dążą czesi. Walka o prawa narodu, oto ich cel główny; przed nim „utrzymanie rządów hr. Taaffego a nawet utrzymanie związku klubów prawicy na drugi plan ustąpić musi.“ Czesi „okruszynki nie uronili z praw korony św. Wacława, nie odstąpili i odstąpić nie myślą od jakiegokolwiek uprawnionego, dawniej podniesionego żądania; oni do Rady Państwa wstąpili z memoryałem w ręku a z artykułami fundamentalnymi w zanadrzu.“ Łączność z nimi winna być dla galicyan pożądana ale zarazem nie radzi autor zapominać o różnicach zapatrywań w pewnych sprawach. Różnice owe są następujące: 1) polacy narodowość opierają głównie na pojęciu państwa, u czechów przeważa pierwiastek szczepowości; polacy nie rozróżniają czechów od morawian, słowaków, hanaków i t. d., czesi widzą w Galicyi nie polaków, lecz mazurów, rusinów, litwinów, nawet kaszubów i pomorzan, „co musi wzniecać w nas pewne obawy;“ 2) czesi dla wzmocnienia żywiołu słowiańskiego w Austryi zalecają ustrój federacyjny — dla galicyan on niemożliwy; podczas bowiem gdy czesi i inne drobne ludy słowiańskie, w całości do monarchii austryackiej należące, z łatwością ugodę taką podpisać mogą, galicyanie, jako cząstka wielkiej całości, liczyć się z nią muszą; i wreszcie 3) znaczna zachodzi różnica w poglądach galicyan i czechów na politykę Rosyi. Pomimo to jednak — mówi autor — „z największem zadowoleniem skonstatować dziś możemy, że dotychczas okazywali się czesi jako sprzymierzeniec szczery i lojalny, że powodu do zażalenia się dotychczas nie dali; podniesione więc z niektórych stron obawy, byśmy na popieraniu czechów nie wyszli tak samo, jak dawniej na obronie madyarów, uważamy do dziś za płonne i nieusprawiedliwione; owszem przyznajemy, że od czasu ściślejszego skojarzenia się prawicy, jako większości parlamentarnej, pojęcia i zapatrywania czechów i polaków zasadniczo się zbliżyły, co ożywia nadzieję, że się one zupełnie zrównają i zjednoczą.“

Trzeci żywioł w Radzie Państwa t. z. stronnictwo prawa, zostaje, jak wiadomo, pod przewodnictwem hr. Hohenwarta, jednego z najznakomitszych członków parlamentu austryackiego, twórcy „artykułów fundamentalnych,“ w których, mimo pewnych naleciałości federalistycznych, okazał się stanowczym autonomistą. Jest to mąż stanu zachowawczy w umiarkowanem znaczeniu tego wyrazu. Autor nie posądza go o kierunek reakcyjny i „z przyjemnością konstatuje, że poczynające się żwawiej ruszać to stronnictwo i jego powszechnie szanowany przewodnik na polu polityki wewnętrznej, a mianowicie na polu zaciętych walk narodowościowych, nie dali polakom żadnego powodu do jakiegokolwiek rodzaju powątpiewań lub niedowierzania.“ Inaczej jednak mają się rzeczy z polityką zewnętrzną, państwową. Na podstawie znanego powszechnie oświadczenia klubu hr. Hohenwarta przy rozprawach adresowych w r. 1878 i na podstawie głośnej mowy barona Hübnera w r. 1880, autor wskazuje pewne ciążenie ku Rosyi w tem stronnictwie, widzi popychanie Austryi do sojuszu z Rosyą, do odnowienia „świętego przymierza“ itp.

Klub czwarty t. z. środkowy, utworzony z odłamu pewnej części obozu hr. Hohenwarta a znajdujący się pod kierownictwem ks. Lichtensteina, nazywa autor po prostu „wyobrazicielem reakcyi nawet w duchu średniowiecznym.“ Programu tej partyi zrozumieć trudno. „Uprzywilejowanie a raczej unieruchomienie większej własności ziemskiej za pomocą ordynacyi, spotęgowanie wpływu duchowieństwa, nie tyle jako głosiciela słowa bożego, ile jako odrębnego w społeczeństwie stanu, złamanie zupełne przewagi wielkiego kapitału ruchomego, jako żywiołu kosmopolitycznego — to są środki, które, według mniemania stronnictwa tego, nadać mają państwu ustrój stanowy, jedynie stały, zachowawczy i zbawienny!“ Ścieśnienie zaś oświaty ludowej, skrócenie obowiązkowego pobierania nauki szkolnej, przy wzmocnieniu autonomii krajów, nawet przy rozszerzeniu prawa wyborczego — zbliżyć nas ma do wskazanego przed chwilą ideału! Sądzi jednak autor, że jak dotąd tak i nadal nie przyjdzie do *ostatecznego* zerwania Koła polskiego z tym klubem, „czego spodziewa się po „wzajemnem umiarkowaniu i życzliwej wyrozumiałości.“ O ile zaś obóz ks. Lichtensteina powstrzyma swoje zapędy, zobaczymy wkrótce, gdy pod obrady Izby posłów przyjdzie projektowana nowela do ogólnej ustawy szkolnej z d. 14 maja 1869 r., której § 48 oddaje kierownictwo nauki szkolnej prawie wyłącznie — w ręce duchowieństwa. Pragnąć takiego przyjemnego zarządu posłowie nasi nie mogą, szczególniej dla Galicyi wschodniej, choćby po smutnem doświadczeniu, z procesu Olgi Hrabar nabytem...

Na charakterystyce klubu środkowego kończy się część pierwsza broszury; druga specyalnie poświęcona jest Kołu polskiemu. Autor daje w niej wymowny i obszerny obraz politycznej działalności polskiej.

O tej części pracy, jako najbliżej nas dotyczącej, pomówimy następnie.

J. Z.

REFORMA SZKOLNA W SZWAJCARYI.

Żaden kraj nie może się poszczycić tak znaczną stosunkowo ilością zakładów naukowych, jak Szwajcarya. Szkoła ta jest tu główną osią, około której obracają się wszystkie zagadnienia społeczne, gdyż ona tylko może uczynić człowieka godnym tej nazwy. Pogląd taki usprawiedliwia w zupełności ruch obecny na polu reformy pedagogicznej, który tak znaczne przyjął rozmiary, iż pochłonął wszystkie inne sprawy bieżące.

Ustawa szkolna z r. 1548 i 1616 obowiązywała nauczyciela kształcić dzieci w kierunku wyłącznie religijnym. Podług bernskiego rozporządzenia z r. 1770 niższe i wyższe szkoły były przygotowawczymi zakładami dla duchowieństwa protestanckiego, które nie przyznawało nowych nauk, lecz chętnie za to staRą walczyło bronią przeciw papiestwu. Decyzya rządu helweckiej Rzeczypospolitej po ogłoszeniu wolności i równości politycznej w r. 1798, tylko naukę religii powierzyła duchowieństwu. Pestalozzi rozpoczął wtedy sławną reformę pedagogiczną. Posłany do Burgdorf przez szwajcarską dyrektoryę, pracował nad założeniem seminaryum nauczycielskiego; po upadku jednak helweckiej Rzeczypospolitej, gdy ster rządu przeszedł w ręce patrycyuszów, zmuszony był opuścić zamek burgdorfski, skąd udał się do Iverdon. Działalność jego wskazała narodowi szwajcarskiemu ów ideał szkoły ludowej, który, pomimo długiego okresu reakcyjnego, nie wygasł jednak zupełnie.

Rok 1831 stanowi ważną epokę w tej dziedzinie. Konstytucya zniosła dotychczasowe zakłady kościelne a zadanie szkoły określiła temi słowy: „Obowiązkiem narodu i jego przedstawicieli jest dbać o wychowanie i kształcenie młodzieży. Państwo powinno wspierać i krzewić zakłady naukowe. Dobrobyt lub ubóstwo w niem zależą od wartości moralnej jego obywateli; bez kształcenia serca i ducha wolność jest niemożliwą, bez niej zaś miłość ojczyzny tylko pustym dźwiękiem.“

W r. 1846 przepisy powyższe przyjęły następną formę:

„§. 81. Nikt nie ma prawa pozbawiać powierzoną jego pieczy młodzież tego stopnia wykształcenia, jaki dla szkół publicznych jest określonym.

Obowiązkiem państwa i gmin — uzupełniać możliwie szkoły ludowe.

§ 82. Obce w kantonie korporacye lub zakony religijne i związane zniemi stowarzyszenia nie mogą pozostawać w granicach państwa i żadna osoba, należąca do takich korporacyj, zakonów lub stowarzyszeń, nie ma prawa udzielania nauki w tych granicach bez pozwolenia Wielkiej Rady.“

Do r. 1871 sprawy szkolnej nie poruszano wcale. Wobec powszechnego jednak rozdrażnienia umysłów, podczas walki o rewizyę konstytucyi, musiano dotknąć i oświaty ludowej. Dwa wypadki wielkiego znaczenia dla współczesnej historyi powszechną na ten przedmiot zwróciły uwagę: zwycięstwo niemieckie, które opinia przypisywała wyższości szkół ludowych, i ogłoszenie dogmatu nieomylności papieskiej, co spowodowało, iż niektóre państwa powzięły zamiar odebrania kościołowi prawa kształcenia młodzieży, lub też ograniczenie tego prawa do minimum. W Szwajcaryi coraz liczniej odzywały się żądania ściślej rewizyi kantonalnych ustaw szkolnych i naczelnego nad ustawą ludową

ze strony Związku dozoru. Kwestya ta została rozstrzygniętą przez Radę Związkową w d. 5 marca 1872 r. przez przyjęcie następnej uchwały:

„Elementarne kształcenie należy do kantonów, jest bezpłatnem i bezwyznaniowem. Zakony religijne pozbawione są prawa nauczania w szkołach publicznych. Związek ma prawo wydawania przepisów co do minimum wykształcenia w szkołach parlamentarnych."

Ustawa ta odrzuconą została w dniu 12 maja 1872 r. przez naród i kantony. Szczęśliwszym był projekt inny z d. 21 stycznia 1874 r. przyjęty przez Radę Związkową i naród 340,199 głosami przeciw 198,013 i przez 14½ kantonów przeciw 7½. Ustawa ta zawiera 27 artykuł konstytucyi związkowej, który brzmi:

„Związek upoważniony jest do zakładania — prócz istniejącej politechniki—uniwersytetu lub innych szkół wyższych oraz do wspierania ich.

„Kantony dbają o dostateczne wykształcenie elementarne, które wyłącznie pod kierownictwem państwa stać powinno. Jest ono obowiązkowem i bezpłatnem w szkołach publicznych.

„Szkoły publiczne uczęszczane być winny przez młodzież wszystkich wyznań bez naruszenia wolności ich wiary i sumienia.

„Przeciwko kantonom, które zobowiązań tych nie wypełnią, zastosowane będą odpowiednie rozporządzenia Związku."

Artykuł ten całkiem prawie pochłonął ostatnimi czasy uwagę narodu i spowodował ruch dzisiejszy, przejawiający się w walce dwu żywiołów: postępowego i zachowawczego. Nie ma kantonu, doliny lub wsi, gdzieby nie rozprawiano o urządzeniach szkoły i kierunku, jaki nadanym być jej winien. Jedni żądają, ażeby kościołowi, a tem samem duchowieństwu, zapewnić możliwie znaczny wpływ, inni patrzą na szkołę, jako na przynależność państwa i z tej zasady chcą ją pozostawić pod wyłącznym kierownictwem zarządu cywilnego.

Dawniej, jak widzieliśmy, szkoła ludowa była rzeczywiście kościelną i skutkiem tego musiała posiadać charakter wyznaniowy. Tak było nietylko w czysto protestanckich, lub czysto katolickich kantonach, lecz także i w protestancko-katolickich.

Stan ten żadnych złych nie sprowadził następstw, dopóki mieszkańcy w tych pozostawali gminach, gdzie się urodzili i wychowali. Rozwój wszakże produkcyi rękodzielniczej i fabrycznej zmienił położenie rzeczy. Coraz więcej mieszkańców opuszczało swoje gminy pierwotne i osiedlało się tam, gdzie siła robocza lepiej popłacała. Państwo zatem, wskutek zmienionych warunków czasu, musiało w artykule 45 konstytucyi z 1874 r. następne wyrzec zdanie:

„Każdy szwajcar ma prawo osiedlania się w każdem miejscu w granicach kraju."

Skutkiem tego w znacznej części gmin miejscowi mieszkańcy są dzisiaj w mniejszości, gdy tymczasem przesiedleni stanowią większość. Zmiana ta nie pozostała bez wpływu na stosunki wyznaniowe i szkolne. Jeżeli mieszkańcy jednej i tejże gminy szkolnej do jednego dawniej należeli wyznania, to stopniowo stan taki stawał się wyjątkowym. Wkrótce nie będzie żadnej, przynajmniej większej gminy, w którejby nie znaleźli się przedstawiciele rozmaitych wyznań. Ponieważ zaś elementarne wykształcenie dla wszystkich jest obowiązkowem, więc państwo powinno dbać o to, ażeby wszyscy rzeczywiście uczęszczać mogli do publicznej szkoły elementarnej. Cel ten osiągnąć może ono w dwojaki sposób: albo skłonić musi gminy do urządzenia dla mniejszości wyznaniowej zakładów osobnych, albo szkołę większości uczynić dostępną dla dzieci mniejszości. Zważywszy na znaczne koszta, mogące wzrosnąć wskutek prawa wolnego przesiedlania, państwo nie chce i nie może zastosować pierwszego sposobu. Pozostaje więc drugi, wyrażony w artykule 27 konstytucyi związkowej:

„Szkoły publiczne uczęszczane być winny przez członków wszystkich wyznań bez naruszenia wolności ich, wiary i sumienia."

Szkoła świecka jest zatem koniecznym wynikiem stosunków cywilnych, wytworzonych przez wymagania czasu. Prawo kształcenia się każdemu człowiekowi przyznane być winno, na państwie zatem spoczywa obowiązek starania się, ażeby każde dziecko przyjmować mogło udział w korzystaniu z owoców nauki, z tej wspólnej spuścizny ludzkości. Szkoła wtedy tylko jest otwartą dla *wszystkich* współobywateli, jeżeli jest bezwyznaniową i pozostaje pod wyłącznem kierownictwem państwa.

Przedstawiciele reakcyi rozmaitych wyznań twierdzą, iż po za nimi niema zbawienia. Szkoła — według nich — jest córką kościoła, mają więc słuszne do niej prawo. Szkoła cywilna jest równoznaczna z ateistyczną; dziecko potrzebuje przedewszystkiem religii, religia jest podstawą moralności i one obie tylko tworzą wspólnie silną podstawę wychowania *).

Rzecznicy innego kierunku żądają zupełnego rozdziału pomiędzy nauczaniem religijnem a szkolnem. Według nich, szkoła powinna stać na gruncie neutralnym; poglądy religijne, jako czysto osobiste, nic wspólnego nie mają z innemi sprawami i oddzielone od nich być winny. Wszystkie kulty stawiają oni na stopniu zupełnej równości; nie kierują się żadną nienawiścią.

Istotnie, czyż można patrzeć obojętnie na fakty przeciwne zasadom tolerancyi religijnej, dokonywające się w szkołach, gdzie duchowieństwo nie utraciło jeszcze swego wpływu? Dla przykładu przytaczam kilka wyjątków z podręcznika urzędownie zatwierdzonego, którego autorem jest Horner z Fryburga, oraz wypisy z broszurek rozdawanych w niektórych szkołach przez katolickich księży.

Na stronicy 37 autor przedstawia powstanie kościoła reformowanego.

„Głównymi przywódcami tej religijnej rewolucyi byli Luter w Niemczech, Henryk VIII w Anglii, Zwingli w Zurychu i Kalwin w Genewie. Ponieważ byli oni po większej części obyczajów zaniedbanych i dumnej myśli, osądzili, iż prostszą i łatwiejszą dla nich będzie rzeczą zreformować religię, niż samym się zmienić."

Co miesiąc otrzymują dzieci kartki z modlitwami takiemi n. p.:

„Za zakończenie prześladowania w Szwajcaryi, szczególnie za naszych uciśnionych braci, które jęczą pod jarzmem prześladowania, zagrażającem zagładą Rzymowi i całemu światu chrześciańskiemu; za wolność kościoła katolickiego w Szwajcaryi, boskiej opieki wzywającego przed uciskiem ze strony wściekłego liberalizmu."

Dzieci katolickie tworzą t. zw. „Stowarzyszenia młodzieży świętego dzieciństwa" i płacąc po 5 centymów miesięcznie, otrzymują 4 zeszyty rocznie. Książeczki te tysiącami rozprzestrzeniane są w szkołach.

W pierwszym zeszycie za rok 1881 (str. 35) mieści się opowiadanie, jak ojciec Jaudel wypędził szatana z pewnego wolnomularskiego zebrania:

„Przebrany ojciec poszedł z pewnym wolnomularzem do loży. Gdy miejsca były zajęte, szatan się zjawił. Człowiek, który sprowadził ojca Jaudela rzekł: „Oto jest on i ojciec Jaudel podniósł natychmiast krucyfiks obiema rękami i uczynił przed całem zgromadzeniem znak krzyża świętego. Uderzenie piorunu nie podziałałoby tak wstrząsająco. Świece woskowe zgasły natychmiast, siedzenia pospadały, wszyscy zaś obecni uciekli. To osobiste współdziałanie i wpływ szatana pośród wolnomularzy nie jest faktem pojedynczym."

Na stronnicy 55 tegoż zeszytu znajdujemy następne, obrażające innowierców opowiadanie:

„W mieście Albany w Ameryce zawołano pewnego księdza do umierającego. Przez burzę zaskoczony, musiał przenocować. Nazajutrz w dalszą udał się drogę. Nagle zauważył, że zostawił hostyę w pokoju, gdzie nocował. Ta myśl silnie przestraszyła jego duszę. W domu, który opuścił, mieszkali tylko protestanci: gospodarz, jego żona, dzieci i służba. Rzekł tedy do siebie: co się stanie z naszym ukochanym Panem w rękach tych niedowiarków! W pierwszej chwili myślał, iż rozum straci z rozpaczy. I znowu zawołał: O mój Panie, jak mogłeś dozwolić, abym cię u protestantów zostawił!"

Dalej opowiadano, jak gospodarz znalazł drzwi pokoju zamknięte, światłem niebieskiem oświecone i jak cudem tym wzruszony nie puścił księdza, póki nie wyrzekł się protestantyzmu i został przezeń obmyty wodą odrodzenia.

W zeszłym III za rok 1881 przytoczone są liczne przykłady cudownego działania wody z Lourdes. Na stronnicy 57 następne czytamy wyrazy:

„Niemi mówią, ślepi widzą, sparaliżowani chodzą, głuchoniemi odzyskują mowę i słuch, wszelkie rodzaje chorób ustępują. Wyleczenie głuchoniemych, które ostatnimi czasy często się powtarzało, w szczególny sposób zwraca uwagę prasy, chociaż już ewangelia świadczy o wielu uleczeniach głuchoniemych przez Zbawiciela dokonanych."

Czyż to nie bluźnierstwo wodę z Lourdes na jednym z Chrystusem stawiać poziomie? Podobnych cytat możnaby przytoczyć wiele. Czyż mogą więc wobec tego protestanci i wolnomyślni katolicy patrzeć spokojnie na takie systematyczne szczepienie w szkołach publicznych nienawiści wyznaniowej i zabobonów? (D. n.)

Dr. A. Złotnicki.

---

*) Podobne obawy wypowiada Albert Duruy w *Revue des deux Mondes*, mówiąc o reformie szkolnej we Francyi,

Ludwik Blanc.

Paryż, 20 grudnia.

Umarł Barbès, umarł Blanqui, umarł Ledru-Rollin, umarł Wojciech Darasz, Worcell, Lelewel, Mierosławski, Libelt. Umarł Mazzini, Garibaldi. Zagłuchła wieść o Rugem, Marx dogorywa. Kossuth, ukryty we włoskiem ustroniu, przestał prawie żyć dla świata. Bratiano z szeregów opozycyi przeszedł do filarów rządu.

Niby cienie niewidzialnych już postaci znikają z widowni bohaterowie 48 roku, nie pozostawiając po sobie żadnej pustki w teraźniejszości. Za pół wieku historya postąpi może z nimi tak, jak my dziś z Rewolucyą: zważy dokładnie zasługi, imiona oczyści z pyłu zapoznania. Współcześni należycie ocenić nie mogą kroku, o jaki pchnęli oni ludzkość; bo, idąc dalej, walczyć muszą nieraz z tym, co za ich czasów było postępem.

Marzyciele, utopiści — mówimy dziś, czytając karty, zapisane przez nich. Nam, wychowanym na ścisłych dziełach uczonych pozytywnych, nam pogrobowcom romantyzmu, dziwnie naiwnemi wydają się dziś te poetyczne rojenia o demokratycznych rzeczpospolitych, powiązanych węzłami wszechludzkiej miłości. Idea praw niezmiennych, rządzących ludami, często nawet idea walki o byt, zanadto przeniknęła do naszych pojęć, abyśmy odczuć mogli

dzieję, opartą na wierze w dobre chęci kie.

jednak dwie największe dziś kwestye Europie, dzięki tym ludziom, uzyskały wa obywatelstwa. Wtedy między haai wojującego postępu świadomie wyszono sztandar narodowości; wtedy awa proletaryatu chrzest otrzymała. mimo nieznacznego odstępu czasu, grunt kowy pod budowaniu teoryi był inny ełnie, niż dziś. Antropologia i etnogranie narodziły się jeszcze, a umysły znacznym stopniu bałamucone były stwowemi pojęciami średnich wieków, órych wielka Rewolucya zdarła tylko dziej rażącą pleśń zewnętrzną. Dzieła nte'a wyszły właśnie, ale dziś na pala policzyć można tych, co je studyoi; wtedy nie znano ich zupełnie. Ażeby ęcia o prawach w socyologii stały się rem ogółu, trzeba było, aby wprzód ygotowali się do opowiadania słów miza: Littré, Leves, Mill, Spencer, mis rtineau. Manifest komunistyczny Marxa tylko intuicyjnem odbiciem tego, co niej zostało tak mocno uzasadnione *Kapitale*.

edną z najwybitniejszych postaci owenikającego pokolenia był Jan-Józefrol-Ludwik Blanc zmarły przed kilku odniami.

Jrodził się 23 października 1811 roku Madrycie. Mając 17 lat, ukończył szkośrednie i wkrótce potem wyjechał do ryża. Był w drodze, kiedy wybuchła relucya lipcowa. W stolicy zastał na ulih trupy, krew na zwalonych w barykakamieniach bruku. Straszny widok wojdomowej wywarł niezmierne wrażenie młodzieńcu; cały późniejszy jego wstręt gwałtownych przewrotów datuje się od chwili. Ojciec jego, a szczególniej matpochodzili z rodziny arystokratycznej; też upadek Burbonów smutnie odbił się majątkowym ich stanie. Trzeba było kać zarobku. Bogaty stryj chciał przyjść omocą synowcowi i dawał rekomendae do różnych potentatów; ale wszyscy ucieczce Karola X nie czuli gruntu d nogami, mogli więc dać zachętę tylko ieco pieniędzy. Pierwszej młody Blanc potrzebował, drugich przyjąć nie chciał. potrzebował tylko pracy. Rzucił więc krótce przedpokoje możnych i zaczął asnemi siłami dobijać się kawałka chle. Pracował w księgarniach, papierniach, adwokata, dawał lekcye i tak przekołatał a lata aż do r. 1832.

Pomimo życiowych kłopotów, czytał baro dużo. Pochłaniał Mablego, Morellego. czególniej dzieła Rousseau'a wywarły na m tak wielki wpływ, że do końca życia ważał się za ucznia tego filozofa.

Tymczasem przyjaciele wystarali mu ę o miejsce nauczyciela w Arras. Nazwio tego miasteczka związane jest ze spomnieniami o Robespierze; a że ostatdyrektor Konwencyi Narodowej był też czniem Jana-Jakóba i także biednem ieckiem, więc Blanc zaczął upatrywać e wszystkiem podobieństwo między nim sobą i otoczył tego bohatera szczególną mpatyą. Bieda się teraz skończyła. Popały się nawet zaszczyty. Akademia arska parę razy nagrodziła próbki młodzieńczej muzy. Wierszyki były liche. poetyckich manowców sprowadziła go rowa rada Bérangera. Jednocześnie proincyonalne gazety zaczęły drukować jego tykuły.

L. Blanc często z goryczą wspominał rzykre lata walki o wydobycie się a wierzch i powtarzał, że młodość jego ależała do najnieszczęśliwszych. Będąc ż jednym z najwybitniejszych mężów narodzie, członkiem rządu tymczasoweo, prezesem komisyi robotniczej, oświadzył, że dzieckiem jeszcze złożył Hanibaową przysięgę przeciwko macoszemu społeczeństwu.

W tem wszystkiem było wiele przesady. Miał dwa lata tylko nędzy. Dwa lata! Gdyby mógł był zajrzeć kiedy do Krakowa i poznać życie akademickiej młodzieży, zobaczyłby, że tam setki znoszą większą częstokroć i nie dwa, ale pięć, sześć, siedem... dziesięć lat; że wybitne bardzo zdolności, wycieńczone głodem, padają nieraz w walce o stanowisko. Wtedy byłby może tak dumnie nie potrząsał widmem krótkiej chwilki spędzonej na poddaszu.

Po powrocie do Paryża w r. 1834 zaczyna się dla Blanca nowy okres życia. Wstępuje na widownię polityczną. W kilka dni po przyjeździe został współpracownikiem, wkrótce potem współredaktorem, a w 25 już roku życia głównym kierownikiem republikańskiego dziennika *Bon Sens*. Los jak gdyby chciał wynagrodzić mu dawne upośledzenie. Ileż to talentów marnieje do tego czasu, nie mogąc się doczekać, aby redaktor przeczytał ich rękopisy!

L. Blanc był publicystą pierwszorzędnej siły. Śmiały w pomysłach, konsekwentny w motywach, obdarzony stylem żywym, iskrzącym się, wkrótce zyskał szeroki rozgłos w stolicy. Pisywał do wszystkich niemal dzienników republikańskich. Gromił stare instytucye i polityczne osobistości, napadał na zepsucie obyczajów, piętnował ucisk. Do prac programowego znaczenia przedewszystkiem zaliczyć należy apostołowanie z Ledru-Rollinem powszechnego głosowania.

Prócz tego jest on jednym z pierwszych rzeczników teoryj komunistycznych. Ojcem francuskich reformatorów społecznych w imię kollektywizmu nazywają zwykle St. Simona. Jeżeli tak, to teorya wyprzedziła faktyczne zrodzenie kwestyi. Pierwszy ruch ekonomiczny proletaryatu wystąpił w 1832 r. w Lionie, kiedy już uczniowie St. Simona bawili się po śmierci mistrza w sekciarskie wybryki. Między 40 a 50 rokiem socyalizm przeszedł na bardziej praktyczne tory i to była najświetniejsza epoka jego rozwoju we Francyi. Naukową (teoretyczną) stronę reprezentowali: Fourier (st. simonista), Proudhon, Ludwik Blanc i inni; w literaturze nadobnej popularyzowali ideje ich Sue, George Sand.

W r. 1840 Blanc wydał *L'organisation du travail* i wkrótce potem *L'histoire de dix ans*. Oba dzieła wywarły wielkie wrażenie i wpływ. Pierwsze rzucało pięknie zbudowaną odpowiedź na rodzące się śród zgłodniałych mas pytania; drugie zrywało polityczne osłony i znamię potępienia kładło już nie na systemat abstrakcyjny, ale na żywe, znane, działające osoby. W liczbie przyczyn wybuchu lutowego dzieła Blanca zajmują nie ostatnie miejsce.

P. Trepka w *Szkicach Ekonomicznych*, w artykule o Bastiacie nazwał Proudhona mistrzem a Blanca uczniem. Błąd ten wyniknął, zdaje mi się, z tego, że p. T. lepiej znał bronionego ekonomistę, niż jego socyalistycznych przeciwników. Pokrewni pod niektórymi względami w ekonomicznych dążnościach różnili się stanowczo co do ideałów politycznych.

Jako wyznawca nauki filozofa genewskiego, Blanc za najszczytniejsze i najdoskonalsze lekarstwo społeczne uważał *braterstwo*. Dwa pierwsze hasła dewizy republikańskiej: *równość* i *wolność* są czczemi słowami, dopóki nie użyźni ich błogi wpływ solidarności. Piękna ta zasada jest tak subtelną, że dziś trudno jest pojąć, jak na ziemię spłynąć ma owo braterstwo i jak powstanie wśród ludzi dobrowolne dążenie do wspólnych celów. Tembardziej jest to trudnem, że jako *jedyny* środek do osiągnięcia ideału zgodnie, z Janem Jakóbem, uważa on kierowanie się według busoli *nieomylnej* woli ludu.

Nie jest zresztą wcale dziwnem, że myśl tę wyraził w r. 1840, ale on do samej śmierci nie osiągnął przekonania, że mądrość narodów omyliła się, mówiąc: *vox populi, vox dei*. Miliony głosób plebiscytu, które dwa razy wydały Francyę na pastwę Napoleonów, nie zdołały rozproszyć wiary, że Blanc, sumienny badacz dróg ludzkości, lepiej rozumieć może potrzeby narodu, niż tłumy ciemnych głów. Dopóki autor *Organizacyi pracy* był publicystą tylko i w dodatku opozycyjnym, łatwo mu było być wiernym zasadzie; zostawszy mężem stanu, sam nią sobie wolność ruchów krępował.

W budowie ekonomicznych pomysłów trzeba się było naturalnie nieraz puścić poły Rousseau'a. Fundamentem tej budowy była *Organizacya pracy*. Powinno się tem zająć państwo i w dalszej konsekwencyi zrobić z narzędzi pracy własność społeczną. Obowiązkiem, celem, racyą jego bytu jest zniesienie naturalnych różnic pomiędzy ludźmi. Są słabsi i silniejsi, społeczeństwo powinno stanąć zawsze po stronie pierwszych i zaprowadzić tym sposobem równowagę. Dochodzi się do tego przez zupełne zadosyćuczynienie najgłówniejszemu prawu każdego członka społeczeństwa, *prawu do pracy* (tak jak teraz każde dziecko we Francyi posiada prawo do wykształcenia). Prócz tego państwo zaspakaja wszystkie potrzeby każdej jednostki. Innemi słowy, treść społecznych zadań Blanca sprowadza się do utartej dziś formuły komunistycznej, której zresztą on sam użył: *Praca według sił — to obowiązek, wynagrodzenie według potrzeb — to prawo.* W jednym tylko punkcie, zdaje mi się, Blanc spotyka się z nauką społeczną Comte'a — co do regulującego zadania państwa. Ale jaka różnica w ścisłości motywowania, w środkach urzeczywistnienia tego zadania! *).

Owczesnym zwyczajem Blanc podaje wszystkie szczegóły instytucyj państwa po organizacyi pracy. Skąd bierze dochody *ministère de travail*, jak urządza publiczne warsztaty, jak one się potem jednoczą w bratnie związki itd. — wszędzie decyduje głos robotników i zawsze oświadcza się tak, jak to uważa za właściwe autor Organizacyi pracy. Wszędzie wielkim motorem pilności jest *obowiązek*. W warsztacie stoi słup z nadpisem: *Wśród stowarzyszonych braci każdy próżniak jest złodziejem.*

Podałem najściślejszą kwintesencyę poglądów Blanca. W języku naszym nie znam obszerniejszego dzieła o nich. Jest tylko przetłomaczona krytyka M. Chevaliera pomysłów organizacyi pracy i koślawego wprowadzenia ich w życie za tymczasowego rządu 48 roku. Krótka wzmianka o tym przedmiocie znajduje się też w kursie *Ekonomii politycznej* Batbiego. W dziele Milla odpowiedni ustęp w polskim przekładzie został wypuszczony. Prócz tego Mieczysław Romański przetłomaczył z *Le Nouveau-Monde* (miesięcznik w Londynie po 48 roku) *Catéchisme des socialistes* pt. *Wiara socyalistów* (Lwów, 1868).

Przejdźmy teraz do praktycznej działalności.

Niewielu apostołom nadarzyła się tak prędko i tak wielka sposobność wprowadzania w życie wymarzonych instytucyj, jak Blancowi po lutowym wybuchu 48 roku. Pominięty przy układaniu listy członków Rządu w Izbie deputowanych, wybranym został przez lud w biurze *Reforme* i tryumfalnie przeprowadzony do ratusza. Był panem pozycyi, czuł za sobą silną podporę z całej masy pracującego tłumu stolicy, tak łatwego nieraz do kierowania.

Radykalni historycy twierdzą, że od pierwszego zaraz dnia rządowi koledzy wrogo się względem niego nastroili i za-

*) Prawowierni uczniowie Comte'a (Laffite, Robinet i inni) do dziś stronią od teoryj Darwina w znacznej części dla tego, że zgrozą przyjmuje ich myśl walki o byt w łonie społeczeństwa.

proponowali mu podrzędne stanowisko sekretarza. Reakcya, cicha jeszcze, zaczęła szeptem grozić powtórzeniem krwawych scen 93 roku. Blanc sekretarstwa nie przyjął, a na potwarcze insynuacye odpowiedział inicyatywą w sprawie zniesienia kary śmierci. Mężem stanu był lichym, więc ani umiał pojąć od razu sytuacyi, ani podołałby ciężarowi całej budowy państwowej. Jako bezwzględny wyznawca nieomylności woli ludu, nie chciał nic robić bez przedstawicieli całej Francyi, wybranych przez powszechne glosowanie.

Korzystając z manifestacyi naglił kolegów do goręteszego przejęcia się reformatorskim duchem, a lud znowu uspokajał i rozpraszał, dając rządowi swoją firmę. Dwie głównie powstały instytucye niby w jego duchu. Marie wymyślił *warsztaty narodowe*, które skrzywiły myśl autora *Organizacyi pracy* i nietylko nie dały owoców pożądanych, ale przeciwnie dostarczyły argumentów przeciwnikom. Blanc nie powinien był nigdy pozwolić na takie dyskretowanie własnych planów, a także na ustanowienie w miejsce Ministeryum Pracy *Komisyi rządowej dla pracujących*. Zamiast siły administracyjnej dano mu możność propagandy. Prawdziwy mąż stanu chwyta zawsze treść rzeczy, Blanca ujęło to, że te same ławy, na których przed miesiącem jeszcze zasiadali dożywotni parowie, zajmą teraz wyrobnicy, parowie pracy i obradować będą nad swoim losem. Jako prezydent tej naiwnej zabawki trwonił drogie chwile na wygłaszaniu pięknych frazesów, a czas uciekał, zapał rewolucyjny stygł, reakcya rosła; ideał społeczny znikał pod nawałem półśrodków.

Kiedy Zgromadzenie narodowe wzięło władzę z rąk Tymczasowego Rządu, Blanc stracił możność nawet tej odrobiny pracy, jaką dotąd posiadał. Żądał ustanowienia *Ministère du travail* — wniosku nie przyjęto. Wtedy groził Izbie, że jak Ludwika-Filipa wypędziła z Francyi rewolucya pogardy, tak ich rozpędzić może rewolucya głodu. Słowa te prędko miały się sprawdzić. 15 maja lud napadł na Zgromadzenie i pomimo obrony gwardyi narodowej wdarł się do środka. Hasłem dnia tego była sprawa polska i podatki od milionów, jako środek do jej rozwiązania. Gorzkie to były chwile dla Blanca. Koledzy jego, przyjaciele i uczniowie w imię jego ideałów wzywali, aby się z nimi połączył; on siedział nieruchomy i niemy, bo czyż mógł się targnąć na wolę Francyi całej? Tłum go porwał i niósł na rękach. Uwolniwszy się szukał schronienia u znajomych, i wrócił do sali obrad. Lud tymczasem mianował nowy rząd w ratuszu i o swoim nieobecnym ulubieńcu nie zapomniał. Przy wejściu do Zgromadzenia powitały go wściekłe okrzyki gwardzistów: Nędznik, zabić go! Na pół żywy, drżący od grozy wypadków dnia całego, wszedł na trybunę i chciał skłonić kolegów do ustępstw. Ale było już późno. Uczestnicy nowych wyborów w ratuszu zostali skazani. Prokuratorya zażądała od Izby postawienia przed sądem Blanca. Żądanie, w pierwszej chwili odrzucone, wkrótce zostało przyjętem. Były członek rządu ratował się ucieczką do Belgii a potem do Anglii. W roku następnym nazwisko jego zawisło na hańbiącym słupie wśród imion skazanych zbrodniarzy.

Wygnanie trwało aż do r. 1870.

W owym czasie Anglia była zbiorowiskiem emigracyi całego świata. Wychodźcy francuscy rozbili się na kilka grup. Ledru-Rollin wraz Mazzinim, Kossuthem, Ruggem, Daraszem i Bratianem stworzyli komitet międzynarodowy rewolucyjny; Wiktor Hugo z Ribeyrolles i Devillem ufundował na Jersey kolonię francuską; Feliks Pyat nareszcie wydał *La Commune Révolutionaire;* Blanc z Greppem i Nadaudem utworzył oddzielną od innych grupę socyalistyczną. Ruchem politycznym ogólnie europejskim w owym czasie kierował głównie Mazzini. Talentem górował nad wszystkimi towarzyszami i wszolką rewolucyjną robotę zabarwiał swoim sposobem widzenia rzeczy. Mazzini nie chciał mieszać spraw społecznych do politycznych (potem dowiódł, że umiał je zupełnie poświęcić dla dobra Włoch), stąd też Blanc miał częste nieporozumienia z komitetem, które dochodziły do gorszących polemik.

Głównem zajęciem Blanca na emigracyi była literatura. Zaczął wydawać miesięcznik *Le Monde Nouveau*, puścił w świat wiele pamfletów (wtedy właśnie wyszła jako odbitka z *Monde* broszurka przetłomaczona przez Romańskiego), pisał własne obrony, polemizował z Proudhonem. W r. 1857 zaczął pisywać początkowo pod pseudonymem Weller, a później pod własnem nazwiskiem: *Listy z Londynu* do *Courrier de Paris*, do *l' Etoile belge*, do niemieckiego *Europe* i nareszcie do *Temps*. Korespondencye te, połączone w tomy, miały parę wydań. Jestto jedna z najznakomitszych prac Blanca. I forma i treść nie pozostawiają nic prawie do życzenia. W 1862 roku wyszedł ostatni tom *Histoire de Revolution*. Dzieło to wywołało żywą polemikę pomiędzy autorem, Micheletem, Lanfrey'em, Peyratem i innymi. Rzeczywiście wielkiej historycznej wartości praca Blanca nie posiada. Jak wszędzie tak i tu zaćmiewa wszystko doktryneryzm. Zdaje się, jak gdyby całe dzieło napisane było dla potępienia przeciwników sentymentalnego deizmu Rousseau'a i wzniesienia pod niebiosy działalności Konwencyi i Robespierre'a.

Napoleon nic nie miał przeciw powrotowi do ojczyzny b. dyrektora komisyi robotników. ale Blanc korzystać z tego nie chciał. Dwa razy nawet odrzucił ogólną amnestyę i pozostał na wygnaniu aż do upadku cesarza, wraz z Wiktorem Hugo, z Quinetem i z Charrasem.

4 września zmartwychwstała Rzeczpospolita, 8-go Blanc stanął już w Paryżu. Teraz popularność jego była większa, niż kiedykolwiek. Robotnicy radykalni pamiętali *Organisation du travail*, mieszczaństwo w *Listach z Londynu* widziało, że poważna Anglia wywarła miarkujący wpływ na dawnego ewangelistę bankietów, że przetwarza się on coraz bardziej w rzecznika powolnego rozwoju. To też, pominięty przy pierwszych wyborach, 8 lutego 71 roku otrzymał od Paryża 216,000 głosów, stał się więc po Thiersie i Gambecie najbardziej wybitną osobistością. Ale kiedy ci działali, on proponował sąd polubowny pomiędzy walczącymi; potem znowu, porwany energią dyktatora, chciał wojny pomimo upadku stolicy.

Wybuchła Komuna. Delegowani z Paryża zebrali się na naradę z członkami komitetu centralnego. Blanc postawił się bardzo wrogo względem delegatów ruchu: „Pamiętajcie — woła — że jesteście buntownicy i to buntownicy przeciwko Zgromadzeniu Narodowemu, wybranemu z taką swobodą, jakiej Francya nigdy nie miała.“

Jeżeli w tem zgromadzeniu — odrzekł mu poseł — jeden człowiek nie powinien był tego powiedzieć, to tym człowiekiem jesteś ty, obywatelu Blanc!

Rzeczywiście Blanc nie powinien był tego powiedzieć. Rzucając iskry, jak mógł oburzać się na płomień?

Krwawe sceny późniejsze musiały bardzo oddziałać na niego. Pobyt w Anglii nie dał mu najważniejszej cnoty człowieka czynu, umiejętności natychmiastowego oryentowania się wśród wypadków. Kiedy Floquet złożył swój mandat, on, deputowany Paryża, pozostał przez czas walki w Wersalu — w obozie wroga. Potem kiedy Zgromadzenie wyraziło uznanie dla armii, która krwią zalała pożar Paryża przez nią w znacznej części wzniecony, Blanc protestował podobno, ale nie pomieścił protestu w *Journal officiel*, kiedy ten na drugi dzień głosił, iż uchwałę powzięto jednomyślnie. Natomiast 8 lipca zamieścił w *Figaro* list. w którym piętnuje Komunę mianem rabunku, morderstwa i t. p.

Ale wrzawa walki domowej ucichła i Blanc odzyskał równowagę umysłową. Staje się rzecznikiem amnestyi powszechnej. Kiedy w 1879 roku zaczęli skazańcy wracać, wyjechał na południe, aby pierwszy uścisnąć im rękę. Podróż ta była pochodem tryumfalnym. W Marsylii wyprzężono mu konie i ciągnięto rękami pojazd jego. Ludność paryska czciła go znowu 14 lipca w święto respubliki.

Pomimo takiej popularności, wybitnego stanowiska w państwie nie zajął on już nigdy. Pobity w 1876 przy wyborach do senatu, został za to wybrany do Izby w trzech naraz okręgach. Był prezesem skrajnej lewicy, ale nie jej głównym przedstawicielem. Przy każdej sposobności zabierał głos, ale wypadki szły jakoś pomimo jego zdania i chęci. Lud czcił dalej swego dawnego trybuna, ale lepszej przyszłości spodziewał się już od innych.

Takiż sam los spotkał go jako teoretyka. Socyalizm się rozwinął, spotężniał, a jego pomysły zostały na boku zapomniane, porzucone.

Życie jego dało tę moralną naukę, że literackie zdolności nie dają jeszcze patentu na męża stanu, a kwalifikacye na dobrego publicystę nie wystarczają do budowania naukowych teoryj.

Rzeczpospolita żałobą się okryła w dzień pogrzebu starego swego wiarusa, państwo dało 10 tysięcy na ostatnie uczczenie człowieka, co wiele cierpiał dla jego dobra. Paryż niezliczonymi tłumami uświęcił uroczystość grzebania. Wszystkie republikańskie stronnictwa oddały hołd patryotyzmowi bez granic, uczciwości, szczerości, niezłomności zasad. W chwili kiedy zeszedł on ze stanowiska, przestał być siłą, można było pamiętać o chęciach tylko, nie o czynach.

Zamiast ziemi kamieniem na trumnę rzucił *Journal des economistes*, a więc Towarzystwo ekonomistów i partya robotnicza.

Dla republikanów zmarły przestał być siłą polityczną, dla socyalistów pozostał nią przez swoje dzieła i powagę; powtóre nie łatwo to zapomnieć potępienie, jakie rzucił on na ich męczenników i na popioły, mające znaczenie relikwii. Względy partyjne mogły ich skłonić do demonstracyjnego usunięcia się, mieli nawet prawo żądać nieobecności na pogrzebie od Clovis Hugues'a, ale i tu jak zawsze poszli za daleko. Nietaktownością swoją pozbyli się jedynego może zdolnego człowieka w partyi. Przyzwyczajeni do brutalnego traktowania przeciwników, zamiast oddać sprawiedliwość prywatnym i obywatelskim cnotom zmarłego, wyrzucali mu, że w 48 roku Korsyka go wybrała, że widział się w Ham z Napoleonem, więźniem wtedy, itd. Nie zapomniano nawet o tem, że Chojecki, egzekutor testamentu, był kiedyś sekretarzem ks. Hieronima Napoleona.

K. T.

POJĘCIA MONISTÓW I POZYTYWISTÓW O ŻYCIU.

Co stanowi istotę życia? Jak rozwiązać zagadkę tego zjawiska? Gdzie się kończą granice przyrody martwej, gdzie poczynają — żywej? Czy istnieją jakie charakterystyczne cechy, różniące stanowczo drugą od pierwszej i jakie mianowicie?

Nierozwiązane te pytania, męczące bezskutecznie filozofię od dawien dawna, pod

jęte zostały na nowo w naszych czasach przez filozofów przyrodników i rozstrzygnięte przez rozmaite szkoły filozoficzne rozmaicie, czyli innemi słowy — pozostały nadal otwarte.

Naukowa filozofia współczesna na dwie główne dzieli się grupy: szkołę pozytywistów, założoną przez Augusta Comte'a, i szkołę monistów, mającą najznakomitszego przedstawiciela w sławnym darwiniście, profesorze jeneńskiego uniwersytetu, Erneście Haecklu. Pierwsza ogranicza się jedynie na badaniu praw zjawisk przyrody, czyli warunków, w jakich te zjawiska się przejawiają, zrzekając się wprost dochodzenia ich przyczyn, czyli wyjaśnienia, *dlaczego* się one przejawiają, w taki, a nie w inny sposób. Druga głosi stanowczo jedność bytu i stara się wszystkie zjawiska sprowadzić do jednej przyczyny: do prostego mechanizmu, lub dokładniej — ruchu atomów.

Z poglądami tych dwóch szkół na zagadkę życia chcemy zaznajomić czytelników *Prawdy*, streszczając ciekawą polemikę, przeprowadzoną niedawno o tym przedmiocie w *Philosophie positive* między dr. Choné, zdolnym przedstawicielem monizmu, a Wyrubowem, redaktorem wzmiankowanego pisma, wiernym uczniem Comte'a. Ponieważ dr. Choné rozpoczął spór, zwracając się do *Philosophie positive* ze swym artykułem „La conception de la vie universelle,“ na który Wyrubow dopiero odpowiedział w duchu filozofii pozytywnej, zaczynamy więc streszczenie od artykułu pierwszego.

I.

„Umysł ludzki, mówi dr. Choné, nie zadawalnia się badaniem faktów odosobnionych, lecz dąży do zgrupowania ich, do odnalezienia łączącej je spójni.

Stąd więc obok umysłów analitycznych, zajmujących się przeważnie zbieraniem materyałów, znajdujemy umysły uogólniające, wiążące w jedną całość zgromadzone fakta. W ostatnim zwłaszcza wieku, dzięki doświadczeniom i spostrzeżeniom, mogli rzucić uczeni szerokie poglądy na całość przyrody, co znacznie posunęło naprzód filozofię natury.

Najznakomitsi badacze zajmowali się tym rodzajem studyów, wzbogacających wiedzę mnóstwem nowych spostrzeżeń otwierających na ogólny ustrój wszechświata szerokie widnokręgi, które podnoszą ducha i służą dla niego za podnietę do najwspanialszych i najśmielszych pomysłów. Wśród ogółu teoryj z łatwością zauważyć możemy wyraźne dążenie do jedności. W chemii poczęto hypotezę o istnieniu jednego tylko ciała, którego pierwiastki, układając się w rozmaity sposób, tworzą różne związki. W fizyce zasada wzajemnego stosunku sił, wyświetlona należycie przez odkrycie mechanicznego równoważnika ciepła, ma za sobą wielkie prawdopodobieństwo.

W historyi naturalnej szkoła ewolucyjna po długiej i pamiętnej walce zapewniła byt teoryi, głoszącej, że wszystkie istoty ustrojowe pochodzą jedne od drugich i przedstawiają tym sposobem jeden łańcuch nieprzerwany, którego pierwsze ogniwa stanowią twory najprostsze, ostatnie zaś — najwięcej złożone: szereg zaczęty od komórki, kończy się na człowieku.

Są to jednak uogólnienia cząstkowe. Ale nie traćmy nadziei, że zabłyśnie dzień, gdy ze wszystkich tych grup utworzy się jedna i pozwoli nam dojść do prostej formuły, któraby nam wręczyła klucz do wszystkich bez wyjątku zjawisk wszechświata.

Wtedy będziemy mogli jednym ogólnym poglądem objąć cały szereg istot od mineralnej cząsteczki aż do organizmu ludzkiego. Oto wielka jedność, wymarzona przez tych, co nie chcą przypuścić chaosu w przyrodzie. Niema tu pośredniej drogi: albo porządek, a w takim razie rozwój daje nam pojęcie o tem, co się dzieje we wszechświecie — albo chaos, a wtedy nauka nie gra żadnej roli w badaniu zjawisk.

Uczeni zajmowali się poznawaniem wielkiej ilości roślin i zierząt, ponieważ jednak rysy, znamionujące ich zasadnicze różnice lub podobieństwa, znajdują się w formach przechodnich, należących często do państwa mikrograficznego, przeto przy niedoskonałości naszych narzędzi i zaniknieniu wielu typów efemerycznych nie jesteśmy dziś w możności zapełnić próżni, dzielącej obecnie jedno państwo istot od drugiego.

Ileż ras ludzkich, stanowiących przejście od australczyka do europejczyka, zaginęło bezpowrotnie! Czyż jednak brak kilku kamieni ma nas odstraszyć od położenia fundamentów dla jednej rozległej budowy wszechświata? Newton, mając za punkt oparcia zjawisko proste: padające jabłko—i zjawisko złożone: ruch planet, potęgą swego geniuszu uogólniającego związał między sobą niezmierzony szereg objawów na pozór zupełnie różnych i stworzył teoryę ciążenia. Myśl prosta, bo kto uogólnia — upraszcza. Kto pierwszy, nie pozwoliwszy się olśnić, ani zniechęcić przerażającym pozornym nieporządkiem świata, powiedział sobie: „Wszystkie te ciała pochodzą jedne od drugich, złożone od prostych,“ ten podniósł ducha w nieznane dotąd wyżyny i dał podstawę teoryi, tem cudowniejszej im prostszej. Równa zasługa należy się temu, co analizuje, jak temu, co uogólnia. Pierwszy z nich zwiedza krainę, poznaje jej grunt, bada bieg rzek — zbiera więc dane, z których drugi czerpie źródła do odtworzenia jej obrazu: mapy, jednem rzutem oka pozwalającej objąć niezmierzone obszary.

Materyały zebrane przez chemików, fizyków, fizyologów pozwolą nam dać pojęcie o tem, co rozumiemy pod słowem: *życie*.

Wszystkie istoty dzielono dotąd na dwie klasy: żyjące i nieżyjące. Termin więc życia stał się środkiem zasadniczego odróżniania jednego działu od drugiego. Rozszerzając zdolność życia na wszystkie twory bez wyjątku, tak dobrze na kamień, jak na człowieka, przyznając tej zdolności jedynie różnicę względną, stopień żywotności, uogólniam pojęcie i odbieram słowu: życie jego szczególne zastosowanie.

Za podstawę mego twierdzenia przyjmuję zasadę: *nic się nie stwarza i nic nie ginie*. Przyznaję więc, że materya jest i że jest ona wieczna. Skupienia pierwiastków lub molekuł postępują w kierunku od najprostszych do najwięcej złożonych, przechodząc wszystkie formy pośrednie.

W badaniach naukowych spotykamy często wyraz: *siła*. Bywa ona określaną dwojako: 1) uważana za coś istniejącego, za potęgę, leżącą zewnątrz materyi i kierującą nią; w takim razie byłaby ona albo materyalną, coby było tylko cofnięciem się przed trudnością wyjaśnienia ruchów i własności materyi, lub też byłaby niemateryalną, a wtedy nauka nie mogłaby zbadać jej istoty; 2) inne określenie brzmi: siła jestto własność materyi od niej nieodłączna, wynik samej jej istoty. Niema materyi bez siły, ani siły bez materyi. Tym sposobem przyciąganie jest własnością atomu, nie zaś obcą potęgą, narzucającą mu swe prawa.

Pojęciem, najwięcej zadawalniającem umysł, jest pojęcie *atomu — siły*, łączące w jedno dwa terminy dotąd rozdzielane.

Pod słowem atom rozumiem nie pewną niepodzielną cząstkę materyi (gdyż przestrzeni niepodzielnej niepodobna pojąć), lecz najprostsze jej skupienie.

Siła więc i własności materyi są dwoma terminami identycznymi.

Słowem, w obecnym stanie wiedzy przyznaję istnienie wieczne atomu — siły, obdarzonego zasadniczą własnością tworzenia grup, zmieniających się stosownie do warunków temperatury, elektryczności itd. Własności drugorzędne zamieniają się stosownie do rodzaju i stopnia złożoności skupień, czy to fizycznych czy chemicznych, czy fizyologicznych. Zamiast więc za początek życia przyjąć komórkę, na miejsce jej podstawię atom. (D. c. n.)

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

S. Kramsztyk. **Wiadomości początkowe z fizyki.** Warszawa.

Biblioteka matematyczno-fizyczna, pod redakcyą M. A. Baranieckiego, a z zapomogi kasy Mianowskiego, wydała w seryi I *Wiadomości początkowe z fizyki* Stanisława Kramsztyka (książeczka pierwsza str. 77, druga 132). Według planu załączonego przy tomikach ma ona nadto obejmować: w seryi pierwszej: Początki arytmetyki M. Berkmana i Wiadomości początkowe z geografii fizycznej i meteorologii; w seryi drugiej: Arytmetykę, Geometryę elementarną w wykładzie przystępnym, Krótki wykład początków algebry, Przystępny wykład fizyki, Kosmografię i geografię fizyczną z meteorologią, Naukę rysunków technicznych; w seryi trzeciej: Arytmetykę teoretyczną M. A. Baranieckiego, Zadania arytmetyczne, Algebrę elementarną i teoryę przybliżeń liczebnych, Geometryę elementarną, Krótki wykład syntetyczny elementarnych własności przecięć stożkowych, Trygonometryę płaską i kulistą, Miernictwo, Fizykę, Kosmografię i geografię fizyczną z meteorologią, Geometryę wykreślną i Mechanikę elementarną; w seryi czwartej: Wstęp do analizy, Rozwiązywanie równości liczebnych J. Sochockiego, Teoryę równości algebraicznych, Geometryę analityczną W. Zajączkowskiego, Geometryę syntetyczną, Rachunek różniczkowy i całkowy, Ćwiczenia z rachunku różniczkowego i całkowego, Metodę najmniejszych kwadratów, Zasady mechaniki teoretycznej i Rachunki wykreślne. Prócz tego tom dodatkowy *Biblioteki* poświęcony będzie słownikowi matematyczno-fizycznemu. W miarę środków materyalnych program powyższy, a zwłaszcza w seryi czwartej, ma się jeszcze powiększyć pracami, poświęconemi działom specyalnym wyższej wiedzy z dziedziny arytmetyki i fizyki.

W dziełku p. Kramsztyka, książeczka pierwsza poświęcona jest zjawiskom siły ciężkości i wiadomościom o wodzie i powietrzu; w drugiej autor obejmuje krótką naukę o cieple, głosie, świetle, magnetyzmie i elektryczności. Sposób przeprowadzenia wszystkich tych wykładów jest umiejętny i zastosowany do umysłu młodocianego wieku. Zjawiska fizyczne, jako wszędzie nas otaczające, przedstawiają materyał najlepszy przy stosowaniu metody poglądowej. Otóż w pracy p. Kramsztyka widzimy, obok celu objaśnienia ważniejszych zjawisk natury, cel nauczenia myślenia na podstawie tych zjawisk, co właśnie stanowi najwłaściwsze urzeczywistnienie tej metody. Dla tych powodów dziełko to polecamy wszystkim, którzy pragną, by dzieci ich odnosiły z nauki początkowej korzyści prawdziwe,

Wł. G.

Gwiazda. Kalendarz petersburski ilustrowany pod redakcyą Henryka Glińskiego na r. 1883. Petersburg. (Rok III).

Pomiędzy kalendarzami z datą roku przyszłego korzystnie się wyróżnia zarówno pod względem doboru treści, jak i objętości *Gwiazda* p. Glińskiego. Obok

części właściwie kalendarzowej i informacyjnej, książka ta zawiera i dział literacki, w którym mieści się zbiorek prześlicznych poezyj mało znanego u nas, lecz bardzo utalentowanego poety galicyjskiego, Bolesława Czerwińskiego. Dalej idzie udatna komedyjka z rosyjskiego, zlokalizowana przez p. Glińskiego p. t. Potwór, Holotka wiersz Józefa Korwina, szkic biograficzno-literacki z życia Czerwińskiego (porówn. *Prawda* nr. 53 z r. 1881), notatki o ślubie księcia „Panie kochanku“ z wojewodzianką Rzewuską i bardzo dobrze, z werwą napisany artykuł o życiu i pismach T. T. Jeża z epigramatem *Ne rodysia krasnym, ale szczasnym.* Poważnie traktowana rzecz dra Antoniego Prochaski „Konrad Wallenrod w poezyi a w dziejach,“ kilka wierszyków W. Z. Kościałowskiej, wiadomość historyczna o wyprawie Sobieskiego pod Wiedeń, gorąco, lubo niebezpretensyonalnie skreślona obrona teatru polskiego w Petersburgu, rozprawka o rolniczych stacyach doświadczalnych według pomysłu przedwcześnie zgasłego uczonego Bohdana Moskalewskiego i nekrologia za drugą połowę 1881 i pierwszą 1882 r. — wypełniają pozostałą treść *Gwiazdy.*

Noworocznik Warszawski na rok 1883 pod redakcyą Jakóba Goldszmita. Warszawa u Centnerszwera.

Redakcya tej książeczki, której połowa składa się z ogłoszeń, część informacyjna zaś mieści się na *trzech kartkach* — polega na dowolnem zestawieniu kilkunastu artykułów, poprzednio już drukowanych. Znajduje się tu tedy ustęp, a raczej urywek z księgi krajobrazów J. I. Kraszewskiego, dwa wspomnienia pośmiertne przez Kotarbińskiego (Wolski i Miarka), kilka wypisów z wydanego przed rokiem dziełka p. Orzeszkowej o żydach i kwestyi żydowskiej, zatytułowanych „Perpetuum mobile,“ wiersz Konopnickiej (z *Gazety Świątecznej*), szkic z bruku warszawskiego *Pajac* przez Waliszewskiego (jeżeli się nie mylimy — przedruk z *Echa*), Z niskich lotów wiersz Gomulickiego (z *Prawdy*), jakaś rozprawka hygieniczna tłomaczona z niemieckiego, dwie poezyjki El-yego i Maryi Elżbiety (Kamińskiej), list z podróży po Afryce Finkelhausa (*Tygodnik Ilustrowany*) i kilka pomniejszych artykulików. Jeśli przedruków dokonano na pożytek czytelników, którzy prac tych dawniej nie znali i, jak chcemy przypuszczać, za zgodzeniem się właściwych autorów —to czemuż wydawca choćby jednem słówkiem nie nadmienił o tej manipulacyi, lecz owszem jedynym tej treści przypiskiem do wiersza Konopnickiej każe się domyślać, że wszystkie artykuły pozostałe oryginalnie dla *Noworocznika* zostały napisane. Szczególna metoda i szczególne wydawnictwo.

W. Piast. **O zmroku.** 24 powiastek dla młodocianego wieku (z 8 rycinami). Gebethner i Wolff, Warszawa, 1883.

Piast pisze stylem jasnym, przystępnym dla młodych czytelników, choć nie zawsze poprawnym, jak np. dowodzi na traf wybrane zdanie z opowiadania p. t. Mali kaznodzieje (str. 7). „Wielka też uroczystość i solenny odpust odbywa się w dniu świąt Bożego Narodzenia, jako poświęconych dzieciątku Jezus, który (?) ze wszystkich stron Rzymu ściąga niezmierne tłumy ludu.“ Co do wyboru przedmiotów przyznać należy, że te w zbiorku zawsze są zajmujące i do pojęć dziecinnych zastosowane, jakkolwiek i tu jest jedno *ale.* Autor mianowicie pisząc, zdaje się pamiętać jedynie o jednej kategoryi dzieci polskich, to jest o dzieciach chrześciańskich, inne zaś, również mające prawo do rozrywki i swojskiej lektury, widać mu są obojętne. Inaczej bowiem nie lubowałby się w tematach dla niechrześcian drażliwych, nie opowiadałby o cudach w kościele Ara-Coeli; nie kazałby małym bohaterom i bohaterkom swoim tylu nucić pieśni religijnych, pisać listów do Panny Maryi (15) i t. p. Wada to jednak wspólna wszystkim niemal autorom piszącym u nas dla dzieci. Więc nie robiąc tu specyalnego z niej zarzutu panu Piastowi chcemy przypomnieć tylko, że książka powiastek nie jest katechizmem. Strona zewnętrzna dziełka przedstawia się nadzwyczaj przyjemnie, a czystość w odrobieniu rycin nic nie pozostawia do życzenia.

W. Anczyc. **Duch puszczy.** Opowiadanie z amerykańskich borów, według dra Birda. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1883 (z 8 rycinami).

Jest to zajmujący ustęp z dziejów kolonizacyi europejskiej w Ameryce, oraz obraz trudów, walk i niebezpieczeństw, na jakie narażeni byli pierwsi do tej części świata przybysze. Trafny wybór oryginału, język jędrny i łatwy, nadewszystko zaś sumienność obrobienia — oto przymioty, które zalecają tę pracę Anczyca w drugiem już wydaniu.

A. C.

TEATR.

Podpory społeczeństwa, dramat w 4 aktach H. Ibsena, tłomaczył C. Danielewski.

Gdy w życiu społecznem zbyt długie panowanie rozpościerają idee strupieszałe, będące w niezgodzie z naturą człowieka, wtedy w atmosferze moralnej krzewi się mnóstwo fałszu, obłuda w słowach i postępkach staje się obiegową monetą. Jest to jednem ze znamion przewagi konserwatyzmu, że wyrabia w życiu i obyczajach sztuczne pęta, że na twarze kładzie maski, a myśli zakuwa w kajdany formułek i ściska więzami sztucznego rygoru. Nietylko w sferze obyczajowej, ale i w dziedzinie pojęć moralnych wytwarza się skutkiem tego pewien martwy konwencyonalizm, krępujący swobodę i samodzielność woli ludzkiej.

Niezgoda treści obyczajów z ich etycznym pokostem, satyra obłudy i ostentacyi podrabianej cnoty — oto zadanie świeżo przedstawionego dramatu Ibsena, który należy, bądź co bądź, do oryginalnych zjawisk w literaturze. Ibsen w ojczyźnie swojej prowadzi upartą a odważną walkę z zaściankowym patryotyzmem, który chce zerwać związek z ogólną cywilizacyą i oprzeć umysłowe życie społeczeństwa na wyłączności t. z. chrystyanizmu narodowego. Jako przedstawiciel stronnictwa inteligencyi, uderza on na strupieszały separatyzm całym szeregiem utworów scenicznych i poetycznych, pisanych na pozór spokojnie, ale zawierających głębszą treść etyczną lub filozoficzną. *Podpory społeczeństwa* są typowym wyrazem dążności i talentu znakomitego pisarza. Ibsen odmalował tu w zaściankowem życiu partykularza skarłowacenie umysłów i sztywność obyczajów, wytworzoną przez długotrwałą przewagę pietyzmu. Świat kupiecki, kramarski, egoistyczny, kryjący się pod zasłoną podrobionej świątobliwości, atmosfera przesycona bigocką pleśnią, w obyczajach zuchwalstwo nadęte pychą i obłudą — oto są szczegóły obrazu, które Ibsen przedstawił w dość szerokim perspektywicznem oddaleniu, ukazując w postaciach także treść ogólnie-ludzką. W tem społeczeństwie, którego duchowni kaznodziejem lękają się łączności z „zepsutym światem“ i nie lubią związku z cywilizacyą, żyje cały szereg ludzi jawnie ogłaszających się za „podpory społeczeństwa“ i niosących niby w ręku sztandar obywatelsko-moralnego przewodnictwa. Hasłem ich dobro ogólne, służba dla wszystkich, ale pod tem godłem kryje się zwykle najbrudniejsze sobkowstwo. Opinia ich, na pozór nieskalana, opiera się na zręcznem kuglarstwie w pokrywaniu niskich tajemnic życia.

W przeciwieństwie do tych fałszywych filarów autor kreśli ludzi wyzwolonych z martwej sztywności, nierachujących się z nędzną komedyą pozorów. Społeczeństwo bigockie i skwaśniałe rzuciło plamę na ich honor, a jednakże moralna wartość ma się w stosunku odwrotnym do opinii. Logiką faktów wyjaśnia Ibsen, że owi moralni podpieracze społeczeństwa są skalani lub niewiele warci. Jednego z nich tylko los powstrzymuje na zbrodniczej pochyłości. Tymczasem owi wykolejeni awanturnicy ukazują się jako najzdrowsza cząstka ogółu, jako istoty szlachetne, których poświęceniem tuczy się egoizm fałszywych filarów.

Rezultatem moralnym dramatu jest zdemaskowanie w oczach samego społeczeństwa lichoty jego rzekomych podpór, zawstydzenie opinii, która sama siebie okłamywała. Zasadnicza myśl sztuki tkwi w głębi malowanego przez poetę obrazu, który odznacza się bezprzykładną oryginalnością motywów, bogactwem szkicowanych postaci i pełnią zbiorowego życia.

Pomijając szczegółową ocenę estetyczną, zaznaczymy tylko, że w skróceniu scenicznem tego utworu głębsza jego treść nie wychodzi dość wybitnie, zwłaszcza dla naszej publiczności, która nie umie dość uważnie wnikać w subtelności i łącznie z pewnymi nawet krytykami nie posiada daru uważnego wysłuchania sztuki. Dla nas szczególną ma wartość samo etyczne założenie, znikające trochę na scenie śród splotów oryginalnie pomyślanej intrygi. I u nas także w obyczajach zapanowała obłuda konwenansu w odmiennym, co prawda, rodzaju; i u nas opinia łatwo da się otumanić zręczną blagą podrabianej cnoty lub wyższego posłannictwa; i u nas są fałszywi kaznodzieje społecznego dobra, zaciemnionej parafiańszczyzny i wstecznictwa; i u nas atmosfera obyczajowa jest zaduszna, sztuczna, potrzebująca „przewietrzenia.“ Na naszych stosunkach możnaby tak samo oprzeć głęboką satyrę uprawianej przez opinię obłudy, możnaby zdemaskować lichotę wielu „podpór.“ mających pretensyę zdobienia frontu społecznej budowy. Że podobna robota nie podoba się wielu „wybranym,“ dowodem tego choćiażby... kwaśne sądy *nasze* o dramacie Ibsena, który zresztą nie potrzebuje u nas stęplować na nowo swej wartości, uznanej jednomyślnie przez krytykę zagraniczną.

Wykonanie tego utworu świadczy, że artyści lepiej odczuli jego wartość, aniżeli pozujący na głębokość recenzenci. Gra panny Deryng i p. Ładnowskiego w rolach głównych a panny Wisnowskiej i pani Ładnowskiej, panów Rapackiego, Tatarkiewicza, Chomińskiego, Kotarbińskiego i Galasiewicza w rolach drugoplanowych oraz staranne uscenizowanie i układ sztuki złożyły się na odtworzenie sceniczne dzieła godne znakomitego poety, który tułać się musi po za krajem, ponieważ ma odwagę demaskować nędze i lichoty swego społeczeństwa.

S. K.

LIBERUM VETO.

em bram w sercu. — Harmonia pism w powinszoiach noworocznych. — Bezinteresowni ludzie. — ągiew *nasza* i *moja*. — Pierwszy ukłon. — *Przy-* krakowska. — Pożądani ludzie. — Potrzeba kryzmu. — Wytrawne cięcia. — Drugie pozdrowienie wydawnictwa dziełek tanich. — Trzeci kompliment *Kuryera Codziennego*. — Jego metamorfoza. — czuczny młodzieniec i flegmatyczny safanduła. — ność współpracy. — Jak rozumuje Brutus. — Robaczki i gwiazdy.

,Gdyby serce ludzkie, jak Teby, miało dem bram, wszystkiemi ludzie wpuzaliby do niego radość.“ Wie o tem tylko Demokritos, ale każdy roznosiciel m, a raczej autor powinszowań noworoych, który oprócz „szczęścia, zdrowia omyślności“ życzy abonentom jeszcze lu innych „darów nieba.“ Tylko niezęścia, które, według Schillera, jest najbodniejszem, bo go każdy unika, a któo ja właśnie życzyłem czytelnikom im, żaden kolędowy wierszopis ofiaroć nie śmiał. I bardzo słusznie. Dzień wego Roku należy do tych wyjątkowych vil, w których wszystkie pisma zlewają w niezakłóconą harmonię. Roznosiciel *eku* winszuje słowami *Gazety Polskiej* odwrotnie, a kto wie, czy kolporterzy *awdy* nie przemówili do naszych prenuratorów rymami, zrobionymi dla *Kro- Rodzinnej*. Wobec tej solidarności winem zastrzedz, że jakkolwiek jednoślność i jednobrzmiącość w naszej prasie bardzo pożądane i w pewnych uroczych chwilach objawiają się wspaniale, sięgają one tak daleko, jakby z nowoznych powinszowań wnosić można. zedewszystkiem nie omylę się chyba, ierdząc, że większość pism, które pragną nnożenia swego obozu, szczerze cieszą jego śmiertelnością i niechętnie witają dy nowy przybytek. „Żeby cię djabeł wał“ szepcze serce na widok nowego ichem pokrewnego“ prospektu — część Boże“ wołają usta. A czytelnicy ruszeni mówią: jacy to bezinteresowni zie, jak oni pragną tylko ogólnego do i wzrostu literatury! Gdy przed kilku y ktoś publicznie bąknął, że w Warsza ma powstać wielki klerykalno-szlacki dziennik, koledzy przyszłego towasza broni natychmiast zaczęli kokietoć abonentów „telegramami własnymi“, dy współcześnie zwiastowano narodze się drugiego tygodnika religijnego. *egląd katolicki* aż zdrętwiał —z radości. pism przeto konserwatywnych każdy wy organ postępowy jest radością serca mutkiem ust — i na odwrot. Wydawca wi: narodzie, zgromadź się licznie pod *szą* chorągwią — a w duszy dodaje: pod *ją*.

Uprzedziłem o tym dyalogu wewnęym czytelników, ażeby się ubezpieczyć podejrzenia, że go w tej chwili prowa z sobą, gdy muszę wspomnieć o kilku eżych objawach ruchu postępowego piśmiennictwie naszem. Pierwszy ukłon eży sią *Przyszłości* krakowskiej, „organi póświęconemu młodzieży“. Prospekt spowiada się ze swych celów troszkę jasno, pierwszy numer — jeszcze ciejej. Podjęcie roli męża z przypowieści wackiego albo nic nie wyraża. albo rzy zbyt wysoko. W dołączonej jednak tego posłannictwa apostrofie, obok w zagadkowych, brzmią wyraziste i ronne. „*Nie* bibliotek (?), ale ludzi narowi potrzeba, ludzi rozumnych, trzeych, wykształconych gruntownie, nie wierzchu, a czujących się obywatelami, zi, wiedzących czego pragną i umiejąh pragnąć czegoś, nie zaś obierających gram i stronnictwo przez węzełki, luz wyrobionym charakterem, a w wyaniu niezłomnych. Tacy to zdrowi i silni ludzie podniosą sztandar ciężki przyszłości i utrzymają go, a nie wybiorą chorągwi i haseł dojutrków, bądź oportunistycznych i służalczych, na dzień jeden ukutych, bądź wznoszonych dla tego, że błyszczące jak malowany ułan, a lekkich i pełnych ckliwego romantyzmu, bądź szanownych rzekomo, że stare, bądź wreszcie modą nęcących, treść niech będzie, jaka chce.“ Istotnie takich ludzi nam potrzeba, ale czy ich nam da *Przyszłość*? Bodajby... życzę jej tego, a tymczasem również życzę więcej krytycyzmu, który jej nie pozwoliłby widzieć w Sienkiewiczu „oryginalność przerastającą *wszystko współczesne*“, w Ochorowiczu „nienaśladowanie nikogo,“ i „głębokie, często genialne (!) pomysły,“ a w Chmielowskiego sądzie o pierwszym z nich — „same komunały.“ Trzy te białe motyle frazeologiczne nie rażą w wiośnie pisma, ale nie powinny się pojawiać w późniejszej jego porze, gdy „organ młodzieży“ będzie mógł istotnie powiedzieć o sobie, jak ów grek: „mocniejszy jestem, dajcie mi cięższy oręż.“ Dziś uzbrojony jeszcze lekko, chociaż kilka ruchów świeżą szpadą zrobił wytrawnie. Zaliczam do nich delikatną i słuszną uwagę na marginesie epistoły *Przeglądu Akademickiego* do uniwersyteckiej młodzieży warszawskiej oraz pomysł napisu na projekcie p. Martynowskiego (w *Kłosach*) do pomnika Mickiewicza. „Projekt ów — według autora — rozwija się (to jest chce się rozwinąć) z krzyża, więc na podstawie zasady chrześciańskiej, będącej wyrazem cywilizacyi i dziejów naszego społeczeństwa.“ Otóż *Przyszłość* radzi mu przypiąć takie godło: „Przewiewny monument metafizyczny, wszelakie cywilizacye w sobie łączący, a pewnemu katolikowi wystawiony.“ Drów Rothego i Pląskowskiego najpokorniej pytam, czy w ich zakładzie nie pojawił się dotąd żaden chory na pomnik Mickiewicza. Już bowiem powinna się była tam odbić projektomania w tym kierunku.

Drugie pozdrowienie zwracam do projektu *Wędrowca*, który zapowiada „wydawnictwo seryi dziełek, mających za przedmiot rozjaśnienie najważniejszych współczesnych zagadnień filozoficzno-naukowych“. Ponieważ będą to głównie przekłady, więc naprzód spodziewam się, że nowe przedsięwzięcie uniknie błędu poprzednich i da tłomaczenia staranne; ponieważ zaś redakcya w wyborze prac będzie się kierowała tylko: „ścisłą, pozytywną metodą badania, duchem pisarza niezależnym i demokratycznym“, więc ma słuszną nadzieję, że przyczyni się do rozjaśnienia rozmaitych *izmów*, które zwłaszcza „pozytywiści“ na chrzcie świętym prasy warszawskiej otrzymują. Jakkolwiek pragnąłbym, ażeby wydawnictwo dziełek tanich zasłużyło na uwagę czytelników naszych, ze szczególnym jednak naciskiem polecam je prawomyślności warszawskiej. Może ona raz wreszcie, jeżeli nie oduczy się „pozytywistów“ kąsać, to przynajmniej nauczy się ich właściwie nazywać.

Trzeci kompliment przesyłam *Kuryerowi Codziennemu*. Pismo to pewnego niedawnego poranku powiedziało sobie: basta z bareczeniem przez nos prawomyślnych rożańców, zacznę sobie śpiewać głosem naturalnym, swobodnym! I pomału „poczciwy“ kuryerek zamienia się na dziennik istotnie liberalny, który zajmuje opróżnione w prasie naszej stanowisko. Znać w nim jeszcze pewne stare nałogi, czasem zdradza brak sił, ale objawia szczerą chęć pracy i walki w postępowym szeregu. Chociaż nieraz zakipi popędliwą junakieryą, zbyt surowo liczyć mu jej nie należy: krewki, buńczuczny, śmiały a uczciwy młodzieniec lepszą budzi nadzieję, niż spokojny, układny, ze wszystkimi pogodzony safanduła. Zbyt niedawno *Kuryer* wstąpił na nową drogę, ażebyśmy powiedzieć mogli, że posunął się już daleko; ale śród dziennikarskich hermafrodytów uznać winniśmy jego męski i zdecydowany charakter.

Wszystkie te objawy postępowej myśli szczerze nas radują. Nie spychamy nikogo z pola, które uprawiamy: jest ono tak szerokie, a raczej — może być tak rozszerzone, że każdy nowy pług znajdzie na niem swą rolę, przez inne nietkniętą. Owszem, jaknajwięcej oraczów, jaknajwięcej siewców postępowych! A jeżeli ogarnie ich chęć współzawodnictwa, niech nie walczą z sobą biczami, ale niech każdy stara się jaknajlepiej swą niwę zaorać i jaknajlepiej zasiać. Z takiego wyścigu korzystają zawsze ci, którzy plony zużywają. „*Opłakuję* Cezara — powiada Brutus Shakespaere'a — bo mnie kochał; *cieszę się*, że był szczęśliwym; *czczę* go, bo był mężnym. ale za to, że był chciwym władzy, *zabiłem* go“. I my również wzajemnie: płaćmy sobie łzami za miłość, radością za szczęście, czcią za męstwo. ale uderzajmy na siebie za sobkostwo. Pod słowo publiczne nie powinna się kryć żadna egoistyczna sprężyna, tylko miłość dla prawdy. Jakkolwiek się nazwie i ozdobi buda jarmarczna, która podstępnie handluje pięknemi godłami, niech ją wicher rozniesie, ale każdą ciepłą i czystą istkrę niech rozdmucha. Nie pryskamy też na żadną kropel złości. Gwiazdy na niebie to nie błyszczące robaczki, któreby między sobą o żer walczyć potrzebowały, ale światełka, które zgodnie noc rozjaśniać mogą; jednobarwne pisma w literaturze— to także gwiazdki, mnożenie się ich nie powinno smucić żadnej, gdy noc tak ciemna!

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Cyrkulacya dziewcząt. — Jej stacye: więzienie, plebania, zakład Magdalenek i znowu więzienie. — Sposób wypełnienia szematów do statystyki przemysłu. — Wojna na zielonym stoliku. — Złe drogi. — Gdyby nie statystyka.

Mam szczerą chęć obdarzyć nasze słownictwo socyologiczne nowem wyrażeniem: *cyrkulacyą dziewcząt*. Na pozór zdawaćby się mogło, że to trąci medycyną, tymczasem jest to najczystsza socyologia i do tego swojska. Niejasność myśli stanowi niestety przywilej tylko ludzi wielkich, więc muszę się tłomaczyć prościej. W Warszawie istnieje stowarzyszenie pań, mających na celu moralną poprawę dziewcząt, wypuszczonych z więzienia. Delikwentka, po rozstaniu się ze swoją siedzibą przymusową, jest zwykle wysyłaną w celach religijno-moralnych (cele również specyalnie swojskie) do jakiegoś niezmiernej poczciwości proboszcza na wieś. Kandydatka do kuracyi bywa przyjętą z należytą powagą, a potem lokuje on ją wśród swojej czeladzi. Introdukcya odbywa się zwykle uroczyście: towarzyszą jej przemowa i rekomendacya w rodzaju: „Oto jest *złodziejka*, która itd.“ Czeladź proboszcza ma sobie za obowiązek oskubywać od czasu do czasu swego „dobrodzieja,“ ale widok *urzędowej* złodziejki i do tego sprowadzonej z Warszawy robi na wieśniakach wrażenie, którego skutkiem są szeregi upokorzeń dla nowoprzybyłej. Czy katusze moralne są tam wynagradzane odpowiednią ilością „strzelistych afektów,“ nie wiem, ale wiem, że jedna z niepokornych kurujących się owieczek przeszła niedawno od „Jabusia“ do zakładu Magdalenek, a stamtąd uciekła do... więzienia, gdzie do czasu pełni chętnie posługi. *De gustibus* w tym razie — *est disputandum*. I dlatego zanosimy pokorną prośbę do pań opiekunek. czyby nie można było uprościć tej tak zawiłej cyrkulacyi wypuszczanych z więzienia dziewcząt, po-

przestając na jednym tylko Kaifaszu? Cel będzie osiągnięty prędzej i... skuteczniej.

Nie wiem o ile skutecznemi będą zabiegi i starania redakcyi *Inżynieryi i budownictwa*, która chce postawić na nogi statystykę naszego przemysłu i w tym celu rozsyła odpowiednie szematy do wszystkich większych właścicieli ziemskich i do fabrykantów. Niedługo pomówimy o tem osobno, więc tutaj opowiem tylko, w jaki sposób wypełniłbym niektóre rubryki owych szematów, gdybym był posiadaczem pewnej dużej cukrowni w kutnowskiem. Na pytanie: jakiej są narodowości miejscowi technicy, odpowiedziałbym w sposób następujący: przed siedmiu laty sprowadziliśmy sobie dyrektora niemca; znany kulturträger uciułał przez ten czas około 70,000 grosiwa (rublami) i przeniósł się do Warszawy na wyższe stanowisko, a zamiast siebie podarował fabryce swego brata, dyrektora jakiejś malutkiej niemieckiej cukrowni; administracya nasza słyszała, że w kraju jest wielu uzdolnionych techników — polaków, ale nie śmie sprzeciwić się panu dyrektorowi, który przecie wie lepiej, czego braciszkowi do szczęścia potrzeba.

W rubryce pod tytułem: *uwagi* opowiadałbym w dalszym ciągu. Robotnicy nasi mieszkają częścią w chałupach, częścią zaś w *mizerkach*. Mizerka ma wielkie podobieństwo do nory kreta i zrobioną jest z ziemi; różni się od swego pierwowzoru najprzód wielkością a potem — ilością nóg mieszkańca. Dawniej mieliśmy takich mizerek dużo, ale dziś pozostało ich tylko cztery i reprezentują one u nas *lokale kawalerskie*. Jest więc mizerka plagą tak szkodliwego dla społeczeństw celibatu. Jakkolwiek zapłata naszych robotników jest o tyle wielką, aby się każdy z nich mógł urządzić w swojej mizerce z odpowiednim lokalowi komfortem, to jednak dajemy im corocznie gratyfikacye. Tylko, że dbając o stronę moralną naszych ludzi, przestrzegamy, aby nie przyzwyczajali się zbytecznie do łatwych, niezapracowanych pieniędzy: dlatego też gratyfikacyę otrzymuje ostatecznie kilku lub kilkunastu; reszta — nie dostaje jej za rozmaite wykroczenia. Tak np. jeżeli ktoryś ze sprzętów fabrycznych w skutek starości ulegnie zupełnemu zepsuciu, to robotnik znajdujący się najbliżej owego sprzętu, w chwili jego zepsucia, niema się już spodziewać gratyfikacyi. Urzędnicy fabryczni pobierają także u nas bardzo wysoką tantiemę, ogólna jej suma jest imponująca, ale dla uproszczenia rachunków personel obdarowanych ogranicza się zwykle do pana dyrektora i jego dwóch pomocników. Na ostatek — choć odpowiedniej rubryki nie ma w szematach — dodałbym jeszcze od siebie: mamy niepłonną w Bogu nadzieję, że pewne prądy społeczne nigdy nie znajdą u nas dla siebie gruntu, nigdy nie zapuszczą korzeni w głąb naszej ziemi—tem bardziej, że miejsca w niej już są zajęte przez... mizerki.

Za Bugiem ludzie łamią sobie żebra na bezecnych drogach i przeklinają cywilizacyę, która zrodziła w ich sercach gorące pragnienie ratowania swych kości — pragnienie Tantala. Tymczasem biedni wołynianie, siedząc w swych wioskach od reszty świata oddzielonych, dziczeją po trosze. Dowodem tego — opisany przez korespondenta *Wieku* fakt pastwienia się pewnej „gromady“ nad złapanym i do sądu prowadzonym złodziejem, który umarł zapewne wskutek tego, że po jego własności w umysłach jego braci było zanadto skrystalizowane. Nie dziwmy się ciemnym okrutnikom. Działali oni w dobrej wierze. Żaden z nich nie będzie się nawet spowiadał z grzechu, którego nie rozumie. Gdyby nie przerażająca powaga „statystyki“ — wydałbym tutaj banalny okrzyk *Kuryera Warszawskiego*: światła, więcej światła!

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 4 stycznia.

„Rezultat polityczny roku ubiegłego wcale nie jest pomyślny“, tak śpiewa jedna z półurzędowych gazet niemieckich, przejrzawszy życie państwowe Niemiec za rok 1882.

Słowa te z łatwością zastosowane być mogą do całej Europy. Gdziekolwiek spojrzymy, wszędzie klęski, wszędzie wstrząśnienia, a widoków polepszenia prawie żadnych. Tak we Francyi rozdartej przez stronnictwa, tak w Niemczech jęczących pod żelazną dłonią kanclerza, tak we Włoszech, niemogących wyjść z fazy narodowościowego odradzania się, tak w Austryi wielojęzycznej, Hiszpanii i reszcie państw.

Na Niemcy, prócz niepowodzeń natury czysto-politycznej, spadły jeszcze i ekonomiczne w postaci wylewów rzek i powodzi, o których coraz więcej zatrważające dochodzą nas wieści.

Czy wskutek niepowodzeń tych ks. Bismark zaprzestanie snuć swe plany, dążące do wzmocnienia rządu przez zubożenie narodu? „Niechaj— odpowiada na to *Frankf. Zeitung*—łudzą się przypuszczeniem podobnem ci polityce, którzy ciągle jeszcze pozostają pod wpływem szału, że kanclerz nasz może naraz stać się punktem środkowym nowej ery liberalnej.“

W sferach klerykalnych niemało sprawiła wrażenie świeżo wydana encyklika papieska do biskupów hiszpańskich, w której Leon XIII zaleca adresatom niemieszanie się do sporów politycznych, oraz upomina wszystkich katolików wogóle, aby w rozprawach publicznych starali się zachowywać zawsze ton spokojny i umiarkowany. Dobrze poinformowani utrzymują, że bez względu na zaadresowanie do biskupów hiszpańskich encyklika odnosi się właściwie do duchowieństwa katolickiego we Francyi. Nie wchodząc ani w kwestyę właściwości adresu, ani też w szczerość napomnień papieskich — zaznaczymy tylko, iż wobec powyższego dokumentu jasnem jest, na czyj karb policzyć należy niejedno z zawichrzeń gnębiących czasy obecne. Nie bez znaczenia także w tym względzie jest ogłoszony świeżo list biskupa z Metz do namiestnika alzacko-lotaryngskiego, w którym ten odmawia przyjęcia udzielonego mu przez cesarza niemieckiego orderu. Prasa francuska nazywa to „policzkiem“ danym księciu Bismarkowi. *Daily News* urzędowo zaprzecza wiadomości, aby przy Watykanie miał być uwierzytelniony reprezentant dyplomatyczny ze strony Angiii.

W Hiszpanii wniosek marszałka Serrano, dotyczący rewizyi konstytucyi, odrzucony został 221 głosami przeciwko 14tu.

Okupacyjna armia angielska w Egipcie ma zostać zredukowaną do połowy.

Senat rzymski przyjął ustawę o przysięgdze parlamentarnej 105 głosami przeciwko 5.

Tajemnicze samobójstwo ambasadora austryackiego hr. Wimpfena i powtórne aresztowanie Krapotkina — oto są ostatnie wiadomości, które przyszłość prawdopodobnie bliżej nam objaśni.

Śmierć Gambetty wreszcie, to fakt, który Francyę okrył żałobą i wobec której ucichły na chwilę wszystkie waśni międzynarodowe.

Nie zatamowały się tylko straszne wylewy, które znowu pustoszą i Austryę.

Cn.

CUDZE GŁOSY.

Śmierć Gambetty zapanowała nad wszystkimi innymi przedmiotami w prasie europejskiej. Sprowadzając różno języczne głosy do tonów głównych, zaznaczyć winniśmy, że dzienniki francuskie śmierć tę opłakują (z wyjątkiem anarchicznych i monarchicznych), angielskie wyrażają poważny smutek, rosyjskie współczują a niemieckie nie tają radości. A nasze, polskie? Zwykle trzymają się one pasków obcych, dopóki więc poczta nie przywiezie gazet zagranicznych, będą wyrażały tylko zdumienie, które zresztą siła wypadku usprawiedliwia.

Pomijając przypomnienia faktów znanych, przytoczymy kilka usiłowań samodzielnego rachunku zasług nieboszczyka.

Gazeta Warszawska, której sprawozdawca polityczny posiada największą wytrawność zdania i znajomość rzeczy, pisze:

„Ze śmiercią Gambetty z widowni europejskiej ustępuje człowiek, bardzo niepospolity, umysł istotnie znakomity, których zaprawdę dzisiejsza Europa wcale nie ma do zbytku, a których może więcej niż kiedykolwiek potrzebuje, wobec ciężkich przesileń, jakie przechodzi, wobec jeszcze cięższych, jakie ją czekają. Rozumowanie płytkich i ciasnych głów, zwłaszcza zagranicznych, że lud francuski jest nawskróś monarchiczny, ponieważ nawet za rzeczypospolitej potrzebuje widzieć jaką osobistość wybitną na czele, sprawującą rządy silną ręką itp., rozbija się o najbardziej nawet powierzchowny przegląd tego kraju od lat stu, o pobieżną nawet znajomość umysłowości, temperamentu i charakteru ludu francuskiego, jak go wypadki wiekowe wyrobiły. Dlatego jakkolwiek śmierć Gambetty jest ciężką dla rzeczypospolitej stratą, nie sądzimy, by miała być przez to zagrożoną i zachwianą. Gambetta zresztą był wprawdzie wielkim patryotą, wielkim obywatelem, znakomitym politycznym talentem, pomimo jednak wielkich jego zasług, które może po śmierci więcej na jaw wyjdą, nie był on jeszcze jednym z owych geniuszów dziejowych, o których zwyczajowo mówi się, że zesłani są przez Opatrzność dla zbawienia tego lub owego narodu, dla tryumfu tej lub owej idei. Na świecie i w ludzkości nikt pono koniecznym i niezbędnym nie jest. Dzieje ludzkości, to walka nieustanna: padnie jeden człowiek, chociażby był wodzem czy hetmanem, drugi gorszy czy lepszy zastąpi go i ludzkość dalej swą walkę prowadzić musi w danym kierunku, idąc ku wygranej lub przegranej, jak jej przeznaczono.“

Wiek, kryjący widocznie jakąś tajemną urazę do zmarłego, powiada:

„Gambetta był między republikanami najwybitniejszą osobistością. Przyczyniwszy się głównie do zaprowadzenia obecnego systemu, on jeden posiadał dostateczną powagę do skutecznego oparcia się ewentualnym, na jego obalenie wymierzonym, zamachom. Śmierć Gambetty pozbawia respublikę najsilniejszego na wewnątrz filaru. Wielkiego znaczenia i wpływu nabył on podczas ostatniej wojny francusko-niemieckiej, podczas której stanąwszy na czele delegacyi rządu w Tours, następnie w Bordeaux, a popierając wojnę jak najenergiczniej, dał dowody wielkiego patryotyzmu, które mu zjednały serca szlachetnie myślącej części narodu. Jeżeli udziału w detronizacyi dynastyi napoleońskiej nie można poczytać mu za zasługę (!), ponieważ obalając powszechnie uznaną władzę, przyczynił się do zneutralizowania akcyi obrony, w chwili dla ojczyzny krytycznej, a tem samem nader skutecznie, lubo pośrednio, poparł (!) działania nieprzyjaciela, z drugiej strony przyznać należy, że popełniony błąd później usiłował okupić największem poświęceniem. Gambetta niezaprzecznie okazał się wyższym od wszystkich kolegów, należących do opozycyi w ciele prawodawczem, którzy wraz z nim wpłynęli na orzeczenie detronizacyi cesarza, a następnie ster rządu pochwycili.“

Nowiny:

„Pod wrażeniem pierwszej chwili prawie niepodobna uprzytomnić sobie całej doniosłości tego wypadku. Wpływ, jaki śmierć Gambetty wywrze na sytuacyę polityczną nietylko Francyi, lecz Europy całej, będzie na długo bogatym tematem do rozpraw

;; dziś przedewszystkiem uderza swoją wielko-
strata, jaką ponosi Francya republikańska,
z z nią idea liberalna ogólno-ludzka. Jak zwy-
dą i tacy, którzy odetchną wolniej nad gro-
wielkiego patryoty; reakcya, radykalizm i...
-k — ta przykładna trójca, co z zadowoleniem
ręce na widok martwych zwłok „demagoga,"
unisty" i „męża odwetu." Słyszymy już z Ber-
ynny frazes dziejowej hypokryzyi: „Welch eine
ung!" Wszakże i nieprzyjaciel uszanować mu-
tek narodu, co z takim trudem chwyta ucieka-
iągle gwiazdę dawnego szczęścia. dawnej
i na każdym kroku nowe spotyka klęski."

ryer Codzienny tak się odzywa:

drodze swojego życia nie postępował on za-
godnie z zasadami, które głosił, *ale* w każdym
ył człowiekiem, umiejącym w danej chwili usu-
(?) z pod wszelkiej odpowiedzialności (?) za
ne klęski. Tak widzimy go usuwającego się od
ządu po klęskach Francyi w r. 1871, jak ró-
w chwili, gdy wybory z list podobnie przez
drzuconemi zostały — zawsze zdołał on urato-
woją popularność. Gambetta należał do nie-
?) małej wartości ludzi, skoro go się obawiano
linie i rozwijano przeciwko niemu agitacyę,
prawie nikogo (?) się nie boją."

ne pisma warszawskie samodzielnych
w nie wyraziły i dlatego je pomi-

zagranicznych (polskich) najgoręcej
nówiła *Nowa Reforma.*

zedewszystkiem powiedzmy, że Francya traci
którego miała w odwodzie na wielką chwilę, na
zadania, które ją czekają wewnątrz czy na
trz. Z nim schodzi do grobu czynnik, który
ędzynarodowych politycznych kombinacyach
eszcze wielką odegrać rolę, schodzi z widowni
stąpiony nikim. niczem, bo rola jego nie była
stemie, lub w jakimś porządku rzeczy, ale
samym. Był to człowiek wyrastający potężnie
poziom swego narodu — patryotyzmem, szla-
ambicyą i siłą charakteru, większą politycz-
yślą. Cała działalność Gambetty po wojnie,
aście lat, zawiera się w tych dwóch słowach:
tować rzeczpospolitę i wychować demokracyę,
pierwszej od zamachów reakcyi, bronić dru-
rzed wyrodzeniem się w motłoch, w panowanie
w ślepą masę, dającą się opanować każdą my-
ywrotu. Przemawiał w imieniu „nowych warstw
znych," bo ich „przyjścia" nie zatuszuje żadna
yna, ni żadne zaprzeczenia. Ale te warstwy
Nigdy jeszcze ta masa Paryża, Lionu czy
lii, nie słyszała prawd z równą odwagą ci-
ch sobie w oczy. Gambecie zawdzięcza Fran-
rzeprowadzenie dwóch zadań: „faire une nation
ite et une nation armée." Te dziesiątki tysięcy
które kosztem setek milionów powstają we
yi, ta gotowość militarna, odżycie ducha wojo-
ego, niezbędne na chwilę obrachunku ze zwy-
z r. 1870, to znowu zasługa Gambetty. Jak
praw i obowiązków obywatelstwa te nowe war-
społeczne, świadczą niezliczone mowy jego,
ni „kolportował" Rzeczpospolitę, która dla nie-
ła „wprowadzeniem" w czyn godności i rozumu
ego" i zasady oświeconej demokracyi. Tylko
po tej drodze, może Francya uniknąć przewro-
du, które wszystkie nabytki cywilizacyjne,
ściowe, moralne mogą co chwila zakwestyono-
uniknąć potrzeby „zbawców" i tego zaklętego
niewczesnych porywów, ofiar, przebranej mia-
pojętej wolności i równości i powrotu w nie-
polityczną, duchową i moralną. Spanoszone
czaństwo francuskie zasłania sobie oczy przed
zpieczeństwem, a na najgorszy moment — za-
je sobie oglądnięcie się „za zbawcą," których
gotowych na usługi."

KRONIKA BIEŻĄCA.

...ary. Dwie klęski dotknęły nasz przemysł prze-
...any. W Żyrardowie spaliła się częściowo słynna
...a tkanin Dittricha i Hillego. Pomoc okolicznych
straży ogniowych oraz warszawskiej zdołała ogień opa-
nować. Klęskę tę (której straty wynoszą około
100,000 rs.) złagodzili właściciele fabryki zapewnie-
niem utrzymania 1200 robotnikom podczas bezrobocia.
Tegoż samego dnia wybuchł pożar w przędzalni Towa-
rzystwa Akcyjnego Szejblera w Łodzi, który zrządził
strat na 90,000 rs.

Sądy. Warszawska Izba sądowa rozstrzygała spra-
wę nauczyciela elementarnego niejakiego p. Sołomo-
nowskiego przeciwko pp. Z. Rościszewskiemu, reda-
ktorowi *Korespondenta Płockiego* i A. Nitkowskiemu,
oskarżonym przez powoda o potwarz, t. j. zarzut
nadużywania lasku w Rypińskiem. Pomimo wymo-
wnej obrony p. Pepłowskiego sąd skazał pozwanych:
po 5 rs. kary i 7 dni domowego aresztu.

— Komisya śledcza, wyznaczona do załatwienia
spraw zaległych, została zwinięta.

Oświata. Z rozporządzenia ministra od r. 1883 po-
większony został wpis w klasie wstępnej gimnazyum
lubelskiego do 25 rs., w pozostałych zaś do 37.

Zmarli. Wojciech Jastrzębowski, ur. w r. 1799,
magister filozofii, adjunkt przy katedrze historyi natu-
ralnej w uniwersytecie warszawskim (1829), potem
profesor w Marymoncie. autor wielu dzieł agro-
nomicznych i ekonomicznych, w których istotna wie-
dza mieszała się często z przywidzeniami — zmarł
w Warszawie. Są ludzie, którzy nawet nad grobem nie
mogą się powstrzymać od powiedzenia głupstwa. *Ga-
zeta Warszawska* pisze: „Liczni a żyjący uczniowie Ja-
strzębowskiego utrzymują, iż nie marzyła się mu, jak
się marzy dzisiejszym filozofom, a zwłaszcza filozof-
kom (?) naszym, że fizyka lub botanika może umoral-
niać społeczeństwo — ale w *nim samym* słuchacze jego
widzieli źródło umoralnienia." Naprzód: którym to
„filozofkom" coś podobnego się marzy. a powtóre: czy
fizyka i botanika była „w nim samym" czy poza nim?

Aresztowania. W Poznaniu zaaresztowano trzech
socyalistów polaków rozlepiających plakaty.

Teatr. P. Leszczyński opuścił scenę warszawską
i przeniósł się na petersburską (polską).

Prasa polska. *Ekonomista*, tygodnik ekonomiczny,
znowu zaczął wychodzić.

Bibliografia polska. F. Bogacki *Istota zjawisk psy-
chicznych.* Warszawa, Lesman i Swiszczowski.

— M. Pape-Carpentier *Powiastki i nauki dla dzieci*,
Warszawa, Lesman i Swiszczowski.

— S. Markiewicz *Pierwsze letnie kolonie u nas*, War-
szawa.

— K. Promyk *Gość*, kalendarz ludowy na r. 1883,
Warszawa K. Proszyński.

— *Strażak*, rocznik, Piotrków.

Wylewy rzek pustoszą znowu Austryę i Niemcy.
Wiedeń, Passau, Linz, Praga czeska, Ołomuniec, Opa-
wa, Preszburg, Wiegheim, Robenheim, Moguncya, Wor-
macya i inne miasta bądź zalane, bądź zagrożone.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. K. W. Artykułów nadesłanych nie zwracamy
pocztą, jeżeli do rękopisu nie dołączono zastrzeżenia
i marek.

P. R. M. w Antonowie. Nie dla nas.

P. Eugeniusz Dż. Nie dla nas.

P. J. E. Nie.

P. Leonowi Ł. w Romanówce. Wprost do redakcyi,
gdyż inaczej po strąceniu księgarskiego procentu dzieł-
ka tego za rs. 1 z *przesyłką* dać nie możemy.

P. J. Such. A skądże my o tem wszystkiem wiedzieć
możemy. Niech się Pan zwróci do informacye do Czy-
telni Akademickiej w Krakowie i do osób, uczęszcza-
jących na kursa w Petersburgu i w Paryżu.

P. T. Pt. w Puławach. Tymczasem nie mamy zamia-
ru osobnego wydania *Siedmiu grzechów głównych.*

P Kuklińskiemu w Krakowie. Żądane numera *Prawdy*
posyłamy. Kwartał I rs. 2 kop. 50 wypłacić nam może
księgarnia Gebethnera i Wolffa tu w Warszawie za
przekazem.

OFIARY.

Na pomnik Mickiewicza. Bezimiennie z Siedlec k. 50
Aleksander Brodeck z Kiszyniewa rs. 3, Moskalewsk
z Ochoży k. 50, B. W. Wilczyńscy rs. 1, Maryan Bycz
kowski k. 50, zebrane 30 z. m. na wieczorze u pp. M
na ulicy Wspólnej rs. 3 k. 6.

Na grobowiec Bolesława Śmiałego. Kownacki z To
maszpola rs. 5, Dr. Rodziewicz z Nerechty rs. 2, wy
grane w karty rs. 1. k. 70, Ręczlewski rs. 2.

Na wpis dla biednych uczniów. S. K. rs. 1, K. S. rs. 9
E. Krężelewski z Lipska k. 25, W. Łopuszyński ze Sm
ły rs. 1 k. 10, ksiądz Gaspad Chmielewski z Łucyn
rs. 10, Obertyński Aleksander z Poczapińców rs. 2
Klopotowski nauczyciel z Charkowa rs. 1, Bohdan I
z Kijowa rs. 1, Michał Ł. rs. 1, B.W. Wilczyńscy rs. 1

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Декабря 1882 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Swiętochowski